Nr. 41. Poznań, dnia 13 Października 1907 r. Rok XI.

PRACA

Abonament wynosi kwartalnie: na poczcie. . . 1,50 z odnoszeniem do domu . . 1,62 pod opaską . . 2,75

Adres Redakcyi: Poznań, ul. Rycerska Nr. 38. Telefon Nr. 1465. Ogłoszenia: od wiersza drobnego 30 fen.

TYGODNIK POLITYCZNY I LITERACKI, ILLUSTROWANY.

Potrzeba lepszej organizacyi politycznej.

Sprawa wywłaszczenia jest jedną z tych spraw, wobec których społeczeństwo nasze, od pierwszego do ostatniego, jest solidarne. Wszyscy uważamy je za środek niechrześciański i sprzeciwiający się zasadzie konstytucyjnej równości obywateli państwa.

Pomimo tej pryncypalnej zgodności zapatrywania objawiły się w prasie różnice zdania co do taktycznego postępowania wobec grożącej ustawy wyjątkowej. Jedni oświadczają się za tem, ażeby odbywać wiece protestujące przeciwko projektowi wywłaszczenia; inni uważają takie wiece za niewłaściwe, ponieważ nie wiedzieć, czy rząd projekt ustawy w sejmie istotnie wniesie, ani jak go ułoży; inni wreszcie zastanawiają się nad tem, czyby nie sięgnąć dalej i w formie ogólnego oświadczenia co do naszego stosunku do państwa pruskiego, nie podebrać rządowi wobec społeczeństwa niemieckiego i świata wszelkiego, choćby pozornego, uprawnienia do wyjątkowych wobec nas zarządzeń.

Zwolennicy każdego z tych trzech sposobów przytaczają bardzo poważne argumenty na poparcie swojego zdania, lecz nie przeczą, iż równie poważne można wytoczyć przeciwko nim. I tem się dzieje, że mimo zgodności w zasadniczem ocenianiu sprawy, znajdujemy się w rozbieżności poglądów co do sposobów obrony. Wszyscy czujemy, że coś nam uczynić należy, lecz nie jesteśmy pewni, coby mogło być najskuteczniejsze. Tem trudniej się zdecydować, ponieważ sprawa, o którą chodzi, jest dla nas wszystkich nadzwyczajnie ważna i każdy liczy się z wielką odpowiedzialnością wobec społeczeństwa za to, co się stanie, gdy tę lub tamtę drogę wybierzemy.

Ale właśnie dla tego, że sprawa jest wielkiej wagi, zachodzi konieczna potrzeba postawienia jej jasno. Kto ma zdecydować, czy co zrobić i jak postąpić? Kto w społeczeństwie naszem ma bezsprzeczny tytuł do rozstrzygania takich spraw?

Reprezentacyi politycznej naszego społeczeństwa, któraby uznana przez ogół, mogła zabierać głos w imieniu społeczeństwa, nie mamy.

Centralny komitet wyborczy zajmuje się tylko wyborami; z ukończeniem wyborów uważa zadanie swoje za załatwione; poza granice tego zadania występować nie chce i nie może.

Posłowie, wybrani z woli społeczeństwa, są niewątpliwie reprezentantami politycznymi społeczeństwa. Z dotychczasowej tradycyi naszej jednak wynika, że społeczeństwo, wybierając ich, daje im mandat reprezentowania Polaków w Berlinie, lecz nie ustanawia ich równocześnie jako głowę polityczną społeczeństwa w kraju.

Jakiebądź inne instytucye polityczne u nas istnieją, żadna z nich nie ma prawa przemawiać w imieniu całego społeczeństwa.

Dotąd bywało tak, że ile razy zachodziła potrzeba akcyi ze strony całego społeczeństwa, kilku lub kilkunastu ludzi dobrej woli, porozumiawszy się z prasą, brało rzecz w rękę i czyniło, co uważało za stosowne. Ten sposób ma dwie słabe strony. raz, że można podnieść wątpliwości, co do legitymacyi inicyatorów, powtóre, że taka akcya nazwana być musi dorywczą, chwilową, zależną od okoliczności, czy się ludzie dobrej woli znajdą.

Tymczasem położenie nasze jest tak poważne, iż potrzeba koniecznie kogoś, którYby miał przez społeczeństwo powierzony obowiązek ciągłego czuwania, a zarazem prawo przedsiębrania w razie potrzeby wszystkiego, co należy, bez narażenia się na zarzut samozwańczego przywłaszczania sobie władzy.

Jednem słowem uważam, że *społeczeństwo nasze powinno stworzyć przedstawicielstwo narodu, uprawnione do reprezentowania go w sprawach politycznych na zewnątrz i przedsiębrania wszelkiej w tych sprawach potrzebnej akcyi w kraju.*

Gdybyśmy dziś już takie przedstawicielstwo posiadali, sprawa stanowiska naszego wobec projektu wywłaszczenia miałaby właściwe miejsce, gdzieby ją gruntownie zbadać i rozstrzygnąć można, co społeczeństwu czynić należy. Społeczeństwo by wiedziało, kto mu pewną akcyę zaleca i że to czyni na mocy wszechstronnie dokonanego rozpatrzenia się w okolicznościach. Prasa nasza, mając podstawę w uchwałach przedstawicielstwa, o wiele silniej i skuteczniej sprawie przysługiwaćby się mogła. W całem postępowaniu byłby większy ład i porządek, większa solidarność, większa pewność.

To, co doradzam, nie jest nowością w ustroju politycznych partyi. W Niemczech każde stronnictwo posiada taką głowę, taką reprezentacyę polityczną. Liberałowie, wolnomyślni, centrowcy i socyaliści są tak zorganizowani, że w razie potrzeby zarząd główny stronnictwa zwołuje przedstawicieli partyi z całego kraju na naradę. Raz w rok odbywa się z reguły taki zjazd partyjny.

Na zjazdach omawiają wszystko, co w jakiejkolwiek mierze ma znaczenie polityczne. Stronnicy nadsyłają do biura zjazdu wnioski w najrozmaitszych kwestyach. Delegaci zjazdu rozstrzygają n. p. i o tem, jakie stanowisko ogólne i wobec spraw poszczególnych powinni zająć posłowie stronnictwa. Jednem słowem zjazd partyjny co rok bada, czy partya programowi swojemu jest wierną, krytykuje każde zboczenie od wytycznych jego

linii i układa dla całej partyi plan postępowania politycznego na najbliższą przyszłość. W ten sposób jest możliwa ciągła kontrola partyi nad sobą samą, oraz jednolite działanie wszystkich w jednej myśli dla dobra stronnictwa.

Jakim sposobem dojść u nas do stworzenia uprawnionego przedstawicielstwa społeczeństwa?

Inne partye urządzają się tak, że stowarzyszenia polityczne w kraju obierają delegatów na zjazd, który wybiera główny zarząd. My stowarzyszeń ściśle politycznych mamy nie wiele; byłoby rzeczą pożądaną, ażeby takie stowarzyszenie w każdej parafii istniało. Dopóki nie istnieje, należałoby się trzymać tego sposobu, jakiego używamy przy wyborach komitetów wyborczych. Zebrania po parafiach wybrałyby delegatów do politycznego komitetu powiatowego, który znowu wybierze podług stosunku oddanych przy wyborach do parlamentu polskich głosów delegatów na ogólny sejm partyjny. Przypuśćmy, iżby na każde 5000 głosów polskich przypadł jeden delegat na zjazd główny, wtedyby przedstawicielstwo polityczne składało się ze 100 obywateli. Doliczywszy do tego wszystkich posłów sejmu, parlamentu i izby panów, wypadłoby około 150 mężów, do których można by mieć zaufanie, iż sprawami społeczeństwa umiejętnie i sumiennie pokierują.

Należy bowiem przyjąć, że społeczeństwo wybierze delegatów z pomiędzy ludzi najtęższych, jakich posiada; że wybierze przedstawicieli wszystkich stanów i zawodów; że nikt z powołanych wolą współobywateli do działania, od obowiązku tego się nie usunie.

Po tak złożonej reprezentacyi społeczeństwa możnaby się słusznie dobrych rzeczy spodziewać. Jakkolwiek bowiem znajdą w niej miejsce (i całkiem słusznie) przedstawiciele wszystkich u nas kierunków politycznych, to jednak znajdą je na to, ażeby radzić nad *możliwie największem zesolidaryzowaniem społeczeństwa wobec przeciwników.* Mówię „możliwie największem", ale wolałbym powiedzieć: bezwzględnem zesolidaryzowaniem, bo uważam, że w położeniu naszem znacznie więcej niż w innych szczęśliwszych społeczeństwach jest spraw, dla których pierwszą zasadą być powinno zdanie: „in necessariis unitas."

Adam Napieralski.

Nie ułatwiajmy im roboty.

W ostatnich czasach donosiły gazety o całym szeregu zajść, świadczących o nader niebezpiecznem zaostrzeniu się stosunków pomiędzy dwiema narodowościami, zamieszkującemi dzielnice polskie. Sprawa ta powinna zainteresować rząd i także społeczeństwo niemieckie, gdyż tylko z tej strony może być zapoczątkowane uzdrowienie odnośnych stosunków.

Przed rokiem pewien ułan morduje w zwierzęcy sposób robotnika polskiego, sędziwego starca; przed kilku miesiącami zdarza się bójka pomiędzy kolonistami a Polakami, zakończona śmiercią Polaka; niedawno w pociągu dwóch Niemców napada na spokojną rodzinę polską i maltretuje ją w sposób najbrutalniejszy, nie przepuszczając bezbronnej kobiecie; w Inowrocławiu wywiązuje się bójka, przyczem pobito Polaków; w Prusach Zachodnich niemieccy napastnicy podpalają Polaków; gdzieindziej odbierają Polacy niemieckie listy z pogróżkami.

To są wypadki, o których dowiaduje się szersza publiczność. A ile jest takich, o których milczy kronika gazeciarska! Znane są zajścia i spory, zachodzące w pociągach, restauracyach, gdzie Niemcy występują ostro i brutalnie przeciwko używaniu języka polskiego i domagają się, aby Polacy po niemiecku ze sobą rozmawiali. Nawet kelnerzy niemieccy pozwalają sobie na niegrzeczności wobec Polaków.

Z teatru.

W sobotę dawano 4-ro aktową komedyę A. Konara pod tytułem „Gąsienice".

Jestto jedna z tego rodzaju komedyi, które, jako temat, nie zestarzeją się póty, póki będziemy mieli matki polujące na zięciów i bezposażne panny na wydaniu, lękające się staropanieństwa, a wskutek niepraktycznego wychowania zmuszone upatrywać w małżeństwie jedyną przystań w życiu, jedyne zabezpieczenie przed kłopotliwem jutrem.

Autor dał wykrój z życia, a raczej kawał życia pewnej sfery społecznej, uchwycony dobrze i wcale zręcznie oddany. Niestety nie potrafił utrzymać swej sztuki na tym poziomie artystycznym, na jakim postawił pierwszy akt, pełen prawdy i wybornego rysunku środowiska, lubo i w tym akcie najlepszym razi operetkowa postać Nowakowskiego.

Dalsze akty z punktu widzenia artystycznego obniżają się znacznie, a niezbyt zręcznie wpleciony trzeci akt i scena z wizyą wręcz psuje wrażenie i nie dorzuca uroku całości. Jednakże przyznać trzeba, że sztuka odznacza się wcale dobrym rysunkiem poszczególnych charakterów i tchnie tem, co stanowi największą wartość dzieł ludzkiej ręki, prawdą. Takim doskonale narysowanym charakterem jest matka Haliny Nowakowska, grana przez panią Królikowską z właściwym tej artystce talentem.

Kto z nas nie zna takich Barbar Nowakowskich, wytężających wszystkie myśli i siły, całą przebiegłość i dowcip kobiecy, aby skromnemi środkami osiągnąć wielkie rzeczy, aby utrzymać dom na pewnym poziomie możliwej wytworności, aby szczupłe mężowskie dochody starczyły na właściwie niesproporcyonowane wydatki, aby w domu wyglądało możliwie najprzyzwoiciej przy najmniejszym ekspensie, aby córki mogły się bawić i bywać. A wszystkim tym zabiegom, tym staraniom prawie rozpaczliwym towarzyszy jedna główna, żywotna, najwyższa i ostatnia myśl i pożądanie: zięć, zięć bogaty, a przynajmniej dobrze sytuowany, który pójdzie na lep ładnej twarzyczki, zięć-idealista, który nie szuka posagu — lecz w doskonałej miłości pragnie pędzić błogi żywot, przy boku nadobnej połowicy, ubogiej jak mysz kościelna, a niepraktycznej, jak milionerka.

To też w domu Nowakowskich panuje atmosfera ciężka póki na widowni nie wyłoni się tak zwany epuzer tj. człowiek noszący się z chwalebnym zamiarem ożenienia się, człowiek, za którego panna winna wyjść a tout prix, czy jej się podoba, czy nie, dlatego, że ma to, co się w życiu codziennem zowie stanowiskiem.

Co za rozpacz, gorycz, udręka, gdy epuzer niknie z widnokręgu, jak kamfora, a z nim rojenia matki i nadzieje panny w marną nicość się rozsypują. Ile wyrzutów najniesłuszniejszych, ile łez, ile skarg na los zawistny, gdy gaśnie ten maleńki promień nadziei, który rozświetlał obiecującem światełkiem jednostajną szarzyznę ubogiego życia.

A z drugiej strony co za radość i szczęście, gdy aż dwóch t. zw. epuzerów kręci się około panny: baron i adwokat Kowalski. Obaj godni zabiegów, obaj partye poważne. Nietrudny wybór. Adwokat jest tylko adwokatem, podczas gdy baron olśniewa blaskiem tytułu i majątku. Tylko baron może być mężem Haliny. Niestety, ubiegł barona adwokat, a panna

Wszystko to odgrywa się na tle narodowem. We wszystkich wypadkach narodowość polska, lub używanie polskiego języka spowodowało Niemców do bądź to brutalnych, bądź zbrodniczych napaści.

Mamy więc do czynienia z jaskrawemi objawami nienawiści i to najgorszego, najhaniebniejszego rodzaju: nienawiści rasowej.

Jeżeli każda nienawiść jest namiętnością złą i podłą, ponieważ psuje i upadla człowieka, który jej do siebie przystęp daje, o ile gorszą jest nienawiść rasowa, która płynie ze źródeł, nie mogących nigdy być zatamowanemi, z różnic, które zatrzeć i złagodzić nie sposób. Boć rasa odrębna, odrębna narodowość, język, charakter itd. nie da się zrzucić jak palto lub rękawiczki, a choćby nawet dany naród jaknajdalej idące robił ustępstwa pod tym względem, póki narodem pozostanie odrębnym, póty będzie kamieniem obrazy dla tych, których opanowała nienawiść rasowa. Z tego to właśnie powodu zaliczać należy nienawiść rasową do najuporczywszych chorób, jakie kiedykolwiek trapiły, trapią i trapić będą rodzaj ludzki.

Byłoby zanosić sowy do Aten, gdyby się zamierzało przeprowadzać ścisły wywód, wykazujący, że źródłem tych objawów smutnych jest hakatyzm, jak znowu hakatyzm ze swej strony jest wynikiem niesłychanego wyostrzenia nietoleranckiego nacyonalizmu, który swe źródło bierze nie czasem z wybitnego poczucia narodowego, lecz z jego zboczenia chorobliwego, czem jest szowinizm.

Człowiek przejęty do głębi duszy ideą narodową, potrafi to samo uczucie uszanować u innych. Narodowość wyda mu się czemś tak wielkiem i nietykalnem, że nie waży się podnieść na nią zbrodniczej ręki. Zrozumie, że nie można dla swej narodowości żądać wszystkich praw i przywilejów, a odmawiać ich narodowości obcej. Zdobędzie się na tyle poczucia sprawiedliwości, tyle uszanowania powagi przyrodzonego prawa, że nie targnie się na nie, choćby nawet w imię racyi stanu, gdyż znając intenzywność poczucia narodowego z doświadczenia, nie będzie chciał i mógł przypuszczać, żeby ono u innych mniej silnie było zakorzenione i łatwiej dało się wytępić.

Właśnie okoliczność, że hakatyści tak lekkomyślnie i nierozumnie porywają się do tępienia narodowości naszej, zniewala ich własne poczucie narodowe taksować bardzo nisko. Jakoteż hakatyzm, ta mieszanina krzykliwego szowinizmu z bezbrzeżną chciwością, nie jest niczem innem, jak brzydkim wrzodem na ciele społeczności niemieckiej, smutnym i niebezpiecznym obłędem moralnym i politycznym. Hakatyzm zwalczać jest zatem obowiązkiem każdego zacnego człowieka bez różnicy narodowości, gdyż przynosi on tylko szkody na wsze strony. Przyjaciel czy przeciwnik nie ma zeń korzyści, a najwięcej cierpi na nim ogół i państwo.

Wszystkim rozważnym ludziom w Prusach sprawa polska kamieniem leży na piersiach. Niemcy i Polacy pragnęliby jej rozwiązania. Sprzeciwia się temu hakatyzm, który w swem zaślepieniu prowadzi walkę dla walki, a przynajmniej stawia warunki pokoju takie, że przenigdy się na nie zgodzić nie mogą Polacy, pochwalić ich nie mogą uczciwi Niemcy. Jedyna siła, powołana do rozstrzygnięcia tego zaciętego sporu, rząd, niestety jest zbyt słaby w Prusach, aby się zdołał oprzeć przemożnym wpływom garstki szowinistów i sekciarzy hakatystycznych, potęga których wcale nie jest sproporcyonowana ich liczebności. Teroryzm, jakim się posługują, straszy słabsze jednostki, pochwały, jakie im padają z ust wysoko położonych osób, podniecają ich złowrogi rozpęd. Rząd, który dał się przez nich popchnąć na trzęsawiska, mniema, że bez uszczerbku swej powagi zejść nie może na bezpieczniejsze drogi. W tem błędnem kole zatacza się polityka polska ku udręce naszej, ku szkodzie i niesławie państwa i narodu niemieckiego.

Stan ten nie powinien i nie może

Halina, która oprzykrzyła sobie spanie na wąskiej kanapie w jadalni rodzicielskiej, wychodzi za tego, który jej się pierwszy oświadczył, za adwokata. Wychodzi bez miłości, aby wyjść z domu, aby uciec przed staropanieństwem, które przedwczesną niepokojącą zmarszczką na twarzy zapowiada swe przyjście.

Następuje życie pełne świetnych zabaw. Niestety zabawy nie sycą miłości spragnionego serca. Jak kania do wody tęskni ono do cieplejszych wzruszeń. Czego nie może dać niekochany, lubo kochający mąż, ma dać kochanek, ten sam baron Kunke, który umyślnie, czy nie umyślnie spóźnił się swego czasu z oświadczynami.

Już śpieszy Halina z listem, aby donieść uwodzicielowi, że przyjmuje jego zaproszenie do zamku na pobyt podczas miesięcy latowych. Jednakże na schodach ogarnia ją słabość, nogi wypowiadają posłuszeństwa. Wraca więc do siebie, aby spocząć. W tej chwili ogarnia ją zemdlenie, a w stanie tym nawiedza ją straszliwa halucynacya, podczas której, jak w słońcu, rozpoznaje fatalne skutki podobnej wizyty.

Rzecz kończy się — jak w komedyi — gruntowną naprawą Haliny. Mąż, którego w widzeniu gorączkowem widzi zrozpaczonego, rzucającego swe życie na szalę, aby ukarać uwodziciela, wydaje jej się godnym miłości i szacunku i przyszedłszy do siebie przyrzeka mu wierność i miłość bez granic, przyrzeka, że dobrą odtąd będzie żoną, kochającą i troskliwą i naprawi swą dotychczasową obojętność i oziębłość.

Kowalskim przeciwstawia autor Borsukiewiczów. Ona, Aniela, siostra Haliny, zapatrzona w męża jak w tęczę, jest typem młodej mężatki, której całe życie obraca się około męża, pieszczonego do znudzenia, karmionego słodyczą pocałunków i pieszczotliwych epitetów do mdłości. Biedny Borsukiewicz! Trochę poeta, marzyciel, lubujący się w idyli wiejskiego życia, nieznużony męczącą sielanką małżeńską, zachował jednak trzeźwy pogląd na życie i jego potrzeby. Swym przekonaniom daje wyraz z namaszczeniem, prawi morały i deklamuje na każdy się nadarzający temat. Z tem wszystkiem jest to człowiek oczywiście bardzo porządny, moralny, uczciwy, lecz nudny nieskończenie. Zresztą typ dobrze pochwycony, lubo mało zajmujący.

Trzecia para, to najmłodsza Nowakowska Olesia i narzeczony jej Rzepko. Para wysoce sympatyczna, ludzie dzielni, dobrzy, słowem narzeczeni, jakich oby było najwięcej.

Sztuka ta ma głębszy podkład społeczny. Zawiera ona krytykę nieracyonalnego wychowania młodzieży żeńskiej, chłoszcze głupią próżność, blichtr, niewczesne oglądanie się na ludzi i opinię rozmaitych Gębaszewskich, jakich nie brak choćby w najbardziej zapadłych kątach. Zaletą jej, że krytykę podaje dyskretnie, nie popada w natrętną tendencyjność.

Gra artystów na ogół była dobra. Pan Skąpski, jako baron Kunke, był nieco zbyt sztywny i chłodny. Bardzo dobrze wywiązała się z zadania pani Bogusińska jako Halina, również panna Gawlikowska, jako Aniela. Mniej więcej to samo należy powiedzieć o reszcie artystów. Na szczególniejsze uznanie zasługuje pani Królikowska, jako Barbara, była to prawdziwie modelowa kreacya.

być stałym. Niepodobna, aby nie miał zwyciężyć zdrowy rozum, aby rzetelne zasady polityczne miały uledz zniszczeniu na skutek tanich fanfar hakatystycznych. Obecnie podnoszą się na widnokręgu politycznym znaki, zapowiadające coś, jakby przesilenie. Hakatyzm wytęża wszystkie siły, aby popchnąć rząd do nowych ustaw wyjątkowych. Z drugiej strony społeczeństwo polskie skupia się w sobie i ze spokojem oczekuje przyszłości, dobrze wiedząc, że cokolwiek będzie, wyrok na życie narodu wypowiedziany nie zostanie, bo go ludzie wypowiedzieć nie zdolni.

Tymczasem w rozpędzie swym blamuje się hakatyzm coraz bardziej i odstręcza od siebie uczciwsze umysły. Już hasło jenerała v. Lieberta „siła przed prawem" nie znalazło zgodnego poklasku nawet w obozie hakatystycznym. Nawet tam takie ostre zaznaczenie stanowiska, godne anarchisty, zastanowiło. Cóż dopiero w uczciwych kołach niemieckich. W Gdańsku skarżył się pewien naczelnik hakatystyczny, że towarzystwo trzech liter coraz mniej zyskuje zwolenników pomiędzy przyzwoitszymi ludźmi, a wielu, co już do niego należy, płaci składki, lecz w walce z Polakami nie chce brać wydatniejszego udziału. Z dobrego źródła wiemy, że np. hakatystyczna „Schlesische Zeitung" traci na popularności pomiędzy lepszymi Niemcami na Śląsku, albowiem niesmak wzbudza ustawiczne podjudzanie przeciw Polakom. Przejada się powoli Niemcom jałowa walka antypolska. Każdy, kto ma walczyć, pragnie widzieć wroga. Tymczasem spostrzega kilka milionów ludzi spokojnych, pracowitych, posłusznych ustawom, płacących podatki i pracą swą pomnażających narodowy majątek niemiecki. Mimowoli wkrada się do jaśniejszych umysłów przeświadczenie, że tak nie wyglądają zdrajcy króla i państwa, zaprzysiężeni wrogowie imienia niemieckiego, raczej, że jest to naród spokojny, z którym można by dojść do porozumienia, i porozumienie z którym przyczyniłoby się do wzmocnienia podwalin samego państwa. Niewygodnie bowiem mieć na pasie pogranicznym od Pucka do Mysłowic 4 miliony innojęzycznego ludu, wobec którego grzeszyło się wiele i ciężko i czyniło się wszystko, aby mu pruską ideę państwową uczynić jak najmniej sympatyczną.

Również otrzeźwiająco podziałał strejk szkolny. Przekonano się, że nawet szkoła, a więc instytucya, która miała formować umysły młodociane w kierunku wybitnie prusko-niemieckim, zawiodła na całej linii. Zawody i zawody. Obecnie mnożyć się zaczynają wypadki, świadczące o tak niebezpiecznem wezbraniu nienawiści rasowej, że porządne państwo ich żadną miarą tolerować nie może, boć podobne prowokacye mogłyby pociągnąć za sobą wprost nieobliczalne skutki. Zajścia te dadzą do myślenia Niemcom, no, i rządowi. Może sobie przypomni całe tomy wysoce podburzających przeciwko Polakom artykułów, które płynęły z pod wymownego pióra publicystów polakożerczych, za które żaden sąd nie karał, lubo dawano pilne baczenie na każdy artykuł polski i za lada gorętsze słówko pociągano autorów do odpowiedzialności. Należałoby życzyć, żeby teraz dokładniej brano hakatystyczne artykuły pod lupę.

Tak otóż nie koniecznie powodzi się hakatystom w ostatnich czasach. Zaczynają się ujawniać złe skutki ich zgubnej roboty. W samym rządzie — jak to swego czasu zdradziła „Schles. Ztg." — wyłoniła się opozycya przeciwko zbytniemu radykalizmowi antypolskiemu, opozycya objawiająca się w oporze przeciwko projektowi wywłaszczenia.

Kto zwycięży — tego przesądzać nie chcemy. Sądzimy jednak, że właśnie obecna chwila wymaga od nas szczególniejszej rozwagi i zdrowej przezorności, aby nie dać przeciwnikowi nowej broni do rąk, która by go wybawiła z bądź co bądź kłopotliwego położenia. Zawsze nam o tem pamiętać należy, że nasi najserdeczniejsi czychają na każde nierozważne słowo, na każdy niepolityczny postępek, aby go wyzyskać na naszą szkodę, a w tem — jak wiadomo — są mistrzami. Nie ułatwiajmy im roboty!

Niemiłe echa sporu szkolnego.

Strejk szkolny, ta gorąca manifestacya katolicko-polska, ta bądź co bądź piękna i zgodna walka o prawa kościoła i narodu w szkołach, skończył się.

Straty materyalne po naszej stronie były wielkie. Większe były straty moralne, jakie poniósł rząd i system pruski. Mimo, że nie wynieśliśmy z tej walki żadnych pochwytnych materyalnych korzyści w dziedzinie szkolnictwa, mimo, że ustąpiliśmy z protestem na ustach przed przewagą siły, która była i jest po stronie rządu — nie potrzebujemy żałować tego porywu. Wzmocnił on poczucie godności katolickiej i polskiej i wykazał przed światem całą grozę naszego położenia, przysparzając nam tem samem spółczucia u ludów cywilizowanych i roznosząc sławę imienia naszego po obu półkulach ziemi.

Możemy więc być zadowoleni. Jednakże niemiły ton mąci harmonię tego nastroju. Władza kościelna nie wystąpiła z wyjątkiem zmarłego naszego i nieodżałowanego Arcypasterza tak, jakbyśmy sobie byli tego życzyli.

Stąd wyłoniły się liczne rekryminacye bądź to zwrócone przeciw Rzymowi, bądź to uderzające w poszczególnych biskupów, narodowości niemieckiej.

Ostatniemi dniami grono księży dyecezyi chełmińskiej wystąpiło z publiczną skargą przeciw ks. biskupowi Rosentreterowi, a część prasy polskiej dołączyła do tych skarg dość silne artykuły, które znów bardzo nieprzychylnie zostały przyjęte przez prasę katolicką niemiecką. Gazety donosiły, że artykuł wspomnianych wyż księży został przesłany na ręce kardynała sekretarza stanu, oczywiście w zamiarze zaszkodzenia nam u Stolicy Apostolskiej.

Nie chcemy tu rozstrzygać pytania, czy nie byłoby lepiej, gdyby owe grono księży, miasto publicznie w gazetach wytaczać skargi, udało się na drogę urzędową. Musimy się liczyć z faktem dokonanym i wierzyć, że krok odnośny uczyniony został po sumiennem zbadaniu wszelkich za i przeciw. Nie możemy jednak oczu zamykać na to, że podobne oskarżenie biskupa nie może się przyczynić do wzmocnienia powagi biskupiej wogóle, a tem samem może osłabić zaufanie i przywiązanie do Kościoła u szerokich bezkrytycznych mas. Nie taimy też, że artykuł, o którym mowa, czytaliśmy z niesmakiem.

Skarga ta, jak się już powiedziało, wywołała liczne echa w prasie. Pomiędzy innymi powiedziano tam, że Rzymowi jest obojętne, czy Polacy modlą się po polsku, czy po niemiecku, byleby tylko pozostali wiernymi katolikami. Polacy powinni być więcej Polakami jak katolikami, to i Rzym więcej się będzie z nami liczył, bo będzie leżało w jego interesie nas popierać.

Pismo nasze nie wdaje się w polemikę, jednakże, będąc pismem nie tylko polskiem, lecz i katolickiem, ma sobie za obowiązek powiedzieć prawdę o tych rzeczach. Otóż najprzód jest absolutną nieprawdą, żeby Rzymowi było obojętne, w jakim języku Polacy się modlą. Kościół, który, wysełając misyonarzy w dzikie krainy, baczy, aby nowożytni apostołowie uczyli wiary w języku ojczystym krajowców i który zawsze się tegoż języka tarczą i osłoną

być okazywał, nie może naraz być obojętnym, gdy chodzi o język starego cywilizowanego narodu katolickiego, jakim jest naród nasz. Kościół, który pomiędzy zasady swoje położył, że religia winna być z reguły udzielana w języku ojczystym i tylko w razie absolutnej niemożności zastosowania tej zasady (co jednak u nas nie ma miejsca) od niej odstępuje, taki Kościół nie może lekceważyć języka naszego. Nareszcie Kościół, u którego wszystkie prawa przyrodzone i nadprzyrodzone człowieka, a więc prawa Boże, znajdują najwytrwalszego orędownika, nie może wypaść z roli, gdy chodzi o nas, o naród tak zasłużony około religii i chrześciaństwa i tak serdecznie i rzewnie do Kościoła przywiązany.

A choćby nawet Kościół narodowości i języka nie uznawał za przyrodzone prawo człowieka (co naturalnie nie ma miejsca) jeszcze by nie lekceważył naszego przywiązania do języka ojczystego ze względów czysto praktycznych. Zna on bowiem zanadto dobrze potęgę tego uczucia, jego wpływ głęboki na całe życie duchowe człowieka, jego prawie czarodziejską władzę nad sercem człowieczem, aby się mógł wyrzec takiego sojusznika w pracy nad uświęceniem wiernych. Toć każde dziecko wie, jak zupełnie inaczej działa słowo Boże, głoszone w języku ojczystym, a Kościół, ten doskonały znawca dusz ludzkich, miałby o tem nie wiedzieć?

Również co do dalszego zdania a mianowicie, że Polacy powinni być więcej Polakami jak katolikami, musimy dać wyraz odmiennemu zapatrywaniu.

Jakkolwiek wzniosłą i wielką rzeczą jest narodowość, jest ona jednak zawsze rzeczą czysto ziemską, doczesną, czemś, co nam nie towarzyszy w zaświaty i co tylko dopomaga do zbawienia, lecz nie jest samem zbawieniem. Inaczej religia. Religia jest rzeczą duszy i życia, niezbędnie potrzebną do szczęścia naszego nie tylko w tem krótkiem przemijającem życiu, lecz w życiu wiecznem. Dostojność religii wcale się porównać nie da z taką narodowości. I jeżeli nas Kościół uczy, że tylko religia nas zbawić zdoła, musimy — absolutnie rzecz biorąc — religii dać pierwszeństwo przed narodowością. Równocześnie jednak ta sama religia uczy nas, że tylko przestrzeganie wszystkich praw Boskich otworzy nam bramy niebieskie. Ponieważ także narodowość na prawie Bożem się opiera, tworzy religia tem samem najlepszą osłonę narodowości i nierozłączalnego z nią języka. Zatem nie ma najmniejszej potrzeby i prawa stwarzania takiego dualizmu w człowieku, rozrywającego go na Polaka z jednej, katolika z drugiej strony. Przeciwnie. Pod tym względem panuje zupełna jedność. Katolicyzm zgadza się z każdą narodowością i każdą broni i osłania, a więc i naszą. Tam zaś, gdzie zachodzą sprzeczności pomiędzy obowiązkiem katolika i Polaka, sprzeczności te są tylko pozorne, w rzeczy samej nie istnieją. I dobrze uczyni Polak, jeżeli da posłuch katolikowi w sobie tj. sumieniu, oświeconemu nauką Chrystusową, a ono go nie zawiedzie i nie skrzywdzi Polaka i sprawy narodowej.

Jeżeli taki rozdział religii i narodowości u żadnego nie jest usprawiedliwiony narodu, co dopiero u nas, w których wali nie tylko germanizacya, ale i protestantyzacya i w których sama obrona narodowości poniekąd jest obroną religii naszej.

Ponieważ tak jest, domagajmy się wszędzie i na każdym kroku nawet w kościele tych praw, które z prawa Bożego nam przypadają. Czyńmy to nie dla tego, że my tak chcemy, że tak nam wygodnie, lecz dla tego, że jako katolicy stoimy na straży praw Bożych, których nam samym wyrzec się nie wolno i na ukrócenie których pod żadnym warunkiem zgodzić się nie możemy. W tym duchu podjęta obrona uchroni nas od szkodliwych kompromisów, ale też od kroków nierozważnych, nie dających się usprawiedliwić.

Nie bądźmy więc raz Polakami — to znów katolikami, nie dawajmy pierwszeństwa raz źle zrozumianemu interesowi polskiemu, drugi raz katolickiemu, lecz występujmy jako ludzie jednolici, jako Polacy-katolicy, którzy na każdym kroku bronią całokształtu swych praw, a więc i w tych przypadkach, gdzie polityka władz kościelnych — mogąca się mylić, jak każda rzecz ludzka — do tego daje rzeczywiste powody.

Nie ulega wątpliwości, że i organa kościelne w polityce błądzą. Mamy tu na myśli niekorzystne położenie nasze pod względem duszpasterskim na obczyźnie. Sprawy te najrychlejszej i najgruntowniejszej domagają się zmiany. I to nie tylko w interesie narodowym polskim, lecz także w interesie katolickim. Sądzimy jednak, że nie osiągniemy wiele, jeżeli będziemy domagali się napraw, jako Polacy, pokrzywdzeni w swych prawach narodowych. Natomiast obiecujemy sobie więcej powodzenia, jeżeli będziemy kładli nacisk na szkody, jakie ponosimy, jako katolicy-Polacy. Z chwilą, gdy akcentować będziemy pierwiastek narodowy, spotkamy się z zarzutem, że wnosimy politykę do domu Bożego. Zarzut ten stanie się bezprzedmiotowym, skoro wysuniemy na pierwszy plan — co zupełnie szczerze uczynić możemy — pierwiastek religijny.

Pisząc ten artykuł, nie chodzi nam o wywoływanie czczej polemiki, lecz o wyświetlenie, jaki jest stosunek katolicyzmu i Kościoła do narodowości. Sądzimy, że stając na tem stanowisku, nic nie uronimy z naszych spraw narodowych. owszem poprzemy je powagą prawa Bożego, a sami zawsze przed oczyma mieć będziemy, że walka, jaką o narodowe prawa staczać musimy, jest zarazem walką o prawa Boże, które prędzej czy później posłuch sobie wyrobią.

Zmiany ustawy

o procesie cywilnym i o ustroju sądownictwa.

Od roku 1879 istnieje w cesarstwie niemieckiem co do spraw cywilnych taki porządek, że wszelkie procesy, przy których chodzi o sumę, nie przewyższającą 300 marek, przed sądem okręgowym (amtsgericht) się toczą. Wszystkie zaś inne procesy należą, z małemi wyjątkami, do sądów ziemiańskich (landgericht).

Przeciwko wyrokom sądów okręgowych jest możliwa apelacya do sądów ziemiańskich, zaś przeciwko pierwszym wyrokom sądów ziemiańskich apelacya do sądów nadziemiańskich (oberlandgericht).

Rząd nosi się z myślą, ażeby ten porządek rzeczy nieco odmienić. Jeszcze wprawdzie dokładnego planu nie ogłosił, jednakże prawnicy już wiedzą o zamierzonych zmianach i żywo się niemi zajmują w swoich pismach oraz na zebraniach.

Trzy są najgłówniejsze zmiany w dotychczasowym porządku: 1) procesy przed sądami okręgowemi mają być spieszniej załatwiane; 2) w procesach, w których chodzi o sumę nie wyższą nad 50 marek, mają być apelacye do wyższej instancyi zniesione; 3) przez sądy okręgowe mają być sądzone sprawy, przy których chodzi najwyżej nie o 300 mrk., jak dotąd, lecz o 800 marek.

1) Za przyspieszenie postępowania sądowego każdy interesowany będzie wdzięczny. Wszystkim zależy na tem, ażeby procesy nie trwały zbyt długo, aby się nie wlokły, pomnażając koszta

ta i zmudę czasu. Na tę zmianę, zamierzoną przez rząd, można się zgodzić.

2) Inaczej przedstawia się sprawa z wykluczeniem apelacyi dla spraw, przy których chodzi o nie więcej, jak 50 marek. Prawda, że suma 50 mrk. nie jest wielką sumą, lecz 50 mrk. dla biedniejszego więcej są warte, niż 1000 mrk. dla bogatszego. Dla czego biedniejszy, dla tego, że biedny, ma mieć mniej prawa od bogatszego!? Takie urządzenie nie odpowiada duchowi czasu, a mianowicie głoszonym hasłom, że biedniejszym w społeczeństwie należy szczególnie pomagać. Taka zmiana pociągnęłaby za sobą niewątpliwie zmniejszenie zaufania do sądów ze strony biedniejszej ludności. Obecnie każdy, czy bogaty, czy biedny, ma prawo apelacyi bez względu na to, o jaką sumę przy procesie chodzi. Plany rządu zamierzają zatem biedniejszym obywatelom pewną część praw odebrać i znieść. Na tę zmianę nie można się zgodzić ze względu na interes i dobro biedniejszych.

3) Trzecia zmiana dotyczy wysokości objektu procesowego przed sądami okręgowemi. Dotąd wszystkie procesy do 300 mrk. bywają sądzone przez te sądy. W przyszłości miałyby należeć do nich wszystkie sprawy aż do 800 mrk.

Gdyby ta zmiana nastała, bardzo wiele spraw, należących dziś do sądów ziemiańskich, dostałoby się do sądów okręgowych. Ludzie, co się na tem znają, obliczają, iż przeszło połowa procesów, rozstrzyganych teraz przez sądy ziemiańskie, spadłaby na sądy okręgowe. Sądom ziemiańskim ubyłoby pracy, okręgowe zaś miałyby jej więcej.

W sądzie ziemiańskim sądzi sprawy trzech sędziów. Dwóch z nich, przewodniczący i sprawozdawca (referent), są obowiązani każdą sprawę przed terminem dobrze zbadać; trzeci sądzi podług tego, o czem w terminie się dowie.

W sądzie okręgowym rozstrzyga sprawy cywilne jeden sędzia. Sędzia okręgowy ma to samo wykształcenie i musi to samo umieć, co sędzia ziemiański; można powiedzieć, że co do znajomości rzeczy oraz doświadczenia jeden drugiemu w niczem nie ustępuje. Pytanie tylko, czy sprawa lepiej bywa osądzona, skoro tylko jeden sędzia się nią zajmuje, czy też lepiej, skoro 3 sędziów rozum swój wysila, aby wydać sprawiedliwy wyrok. Na to pytanie odpowiedzieć nie jest łatwo; po ludzku sądząc, daje trzech sędziów więcej pewności, niżeli jeden.

Skoroby ta zmiana przeszła, natenczas następstwem jej byłaby zmiana co do adwokatów. W sprawach cywilnych przed sądem ziemiańskim jest przymus adwokacki, to znaczy, że obie strony się procesujące muszą wziąć adwokatów. A więc podług dzisiejszego porządku już przy każdej sprawie ponad 300 mrk. Jeżeli sprawy aż do 800 marek dostaną się do sądów okręgowych, wtedy w procesach do tej wysokości objektu, adwokata by nie było potrzeba.

Bawarski związek sędziów, a także wielkie zebranie adwokatów w Niemczech oświadczyły, że zmianom się sprzeciwiają. Rząd jednak obstaje przy swojem i prędzej czy później parlament będzie się tą sprawą zajmował.

Pożyteczną będzie rzeczą, skoro nasi czytelnicy o tem wszystkiem się dowiedzą i nad nią pomyślą.

Tydzień polityczny.

W Niemczech ostatniemi czasy sensacya goni sensacyę. Najnowszą rzeczą na tem polu jest brudny paszkwil Brandta, zarzucający kanclerzowi zboczenia przeciw moralności. Kanclerz, który nie lubi uciekać się pod skrzydła opiekuńcze prokuratora, tym razem uczynił słusznie wyjątek. Wytoczył Brandtowi skargę, aby w postępowaniu sądowem wykazać swą niewinność.

Sala sądowa podczas procesu dostępna będzie publiczności. Kto w tak jawny sposób zgadza się na roztrząsanie swego sumienia, chyba musi być niewinnym. To też obrzydliwa napaść kretyna moralnego, jakim jest Brandt, tylko przyczyni się do wzmocnienia stanowiska ks. Bülowa, a nawet u ludzi mu nieprzychylnych zjedna mu spółczucie. Interesuje pytanie, czy Brandt na własną rękę podjął się zohydzania kanclerza, czy też jest on tylko narzędziem w ręku potężnych przeciwników kanclerskich. Spodziewać się należy, że rozprawa sądowa rozświetli te brudne intrygi, od których każdy przyzwoity człowiek odwróci się ze wstrętem. Objawy takie, jakie miały miejsce w ostatnich czasach w Niemczech, złe rzucają światło na sprawy. Coś się psuje w państwie niemieckiem, skoro zgnilizna wychodzi śmiało z swych jam i zatruwa wstrętnym wyziewem życie publiczne.

Podobne objawy w upadających zwykły się zaznaczać społeczeństwach. Naród pozbawiony wielkich ideałów, tonie w marnej pogoni za sensacyą drażniącą nerwy. Zaiste czas, aby gruntowne naprawy systemu politycznego, nowe życie wlały w żyły narodu, i podniosły go ponad ciasne koło inwektyw osobistych, jak również wywiodły go z bagienka szowinistycznej polityki narodowościowej, która zatruwa charaktery i umysły i obniża moralny poziom społeczeństwa niemieckiego.

Niestety, co do ostatniego punktu widoki nie są pomyślne. Ostatniemi dniami odbył się zjazd partyi narodowo-liberalnej (partyi, sama nazwa której jest gorzką ironią dla jej działalności). Na zjeździe tym omawiano sprawę polityki antypolskiej, energicznego podtrzymywania której usilnie się domagano. Również oświadczono się za przepisem, ograniczającym wolność używania języków nie niemieckich na wiecach i zebraniach. Chodzą też dość prawdopodobne pogłoski, że rząd w projekcie ustawy o zebraniach i stowarzyszeniach, klauzulę odnośną zamieści. Zatem rząd znajdzie poparcie u narodowych liberałów. Odmawiają jednak poparcia tej klauzuli postępowcy, jak to wynika z mów wygłoszonych na zjeździe partyjnym postępowców oraz w ich prasie, nie wykluczając żydowskiego „Berl. Tageblattu.“ Centrowcy również stanowczo odrzucają tę klauzulę, to samo czynią socyaliści. Zatem, jeżeli postępowcy nie zmienią w ostatniej chwili zapatrywania, rząd nie będzie miał powodzenia w parlamencie w swych zapędach antypolskich w tym kierunku.

Zaregestrować należy także zmiany, jakie zaszły w dyplomacyi i administracyi państwowej. Ks. Hermann Hohenlohe-Langenburg złożył urząd namiestnika Alzacyi i Lotaryngii, który objął roku 1894 po swoim kuzynie Chlodwigu, znanym późniejszym kanclerzu, a głośnym autorze niepożądanych wspomnień, które to tyle złej krwi narobiły, a także i wrzawy daleko po za granicami Niemiec. Miejsce jego obejmie dotychczasowy ambasador niemiecki w Wiedniu hr. Karol Wedel, podczas, gdy ambasadę wiedeńską obejmuje pupil cesarski, mało wymowny p. von Tschirschky und Bögendorff, dotychczasowy sekretarz stanu dla spraw zewnętrznych.

Spuściznę polityczną po panu Tschirschkym odziedziczy dotychczasowy ambasador petersburski p. Wilhelm von Schoen, podobno zdolny dyplomata, cieszący się szczególniejszem spółczuciem cesarza, wykwintny salo-

LUDWIK STEVENSON.

Wyspa skarbów.

Przekład z angielskiego.

(Ciąg dalszy.)

— Trelavney — odezwał się doktor — wbrew moim obawom, zdaje mi się, że udało ci się zaciągnąć dwóch rzeczywiście uczciwych ludzi: tego człowieka i Johna Silver'a.

— Na Silver'a zgoda, — zawołał Esquire — ale co do tego nieznośnego szarlatana, to powiem wprost, że postępowanie jego wydaje mi się nie męskie, nie marynarskie i poprostu niegodne Anglika.

— No, to się da widzieć rzekł doktor.

Gdyśmy wyszli na pokład, majtkowie zaczęli już przeładowywać broń i amunicyę, pośpiewując przy robocie, podczas gdy kapitan i mr. Arrow stali, dozorując.

Nowe urządzenie podobało mi się bardzo. Cały rozkład statku uległ zmianie. Sześć kajut urządzono w tylnej części okrętu, łącząc je z kuchnią i przednią częścią statku tylko wąskiem przejściem od lewego boku okrętowego.

Pierwotnie kajuty te były przeznaczone dla kapitana, ms. Arrow, Huntera, Joyera, doktora i Esquire'a. Obecnie Tedruth i ja otrzymaliśmy dwie z nich, a kapitan i Arrow mieli sypiać na pokładzie, przy ogólnej sali majtków, którą rozszerzono z obu stron, tak, że możnaby ją było nazwać prawie kordegardą. Przegrodzenie było dość niskie, co prawda, ale starczyło poddostatkiem miejsca, aby zawiesić dwa hamaki i nawet mr. Arrow zdawał się zadowolonym z tego urządzenia.

Może on także nie ufał załodze? Nie wiem, gdyż jak się dowiecie niebawem, nie długo korzystaliśmy z jego światłych usług.

Pracowaliśmy wszyscy gorliwie, przenosząc proch i szykując na nowo kajuty, gdy przybiła do okrętu łódź z dwoma ostatnimi majtkami i Długim Johnem.

Kucharz wbiegł na okręt po drabince z prawdziwie małpią zręcznością i skoro ujrzał co robimy:

— Hej! chłopcy! — zawołał — a to co znaczy?

— Przenosimy proch na inne miejsce — odparł jeden z ludzi.

— Co, u licha — zaklął Długi John — a tymczasem przeminie odpływ ranny!

— Ja tu rozkazuję — krzyknął kapitan ostro. — A ty ruszaj na dół i pilnuj kolacyi majtków.

— Słucham, sir — odpowiedział kucharz i musnąwszy ręką włosy u czoła w formie ukłonu, zniknął w kierunku kuchni.

— To dobry człowiek, kapitanie — odezwał się doktor.

— Nie przeczę, sir — odparł kapitan Smollet. — Powoli tam! powoli! — krzyczał na majtków, przenoszących proch, a w tem spostrzegając, że przyglądam się ciekawie armatce, którą toczyliśmy środkiem pomostu.

— Hej! ty chłopcze okrętowy! — zawołał — precz stąd! Ruszaj do kucharza i powiedz, by ci dał jaką robotę.

A potem, gdy uciekłem szybko, głośno do doktora:

— Nie chcę faworytów na moim okręcie — rzekł.

Zaręczam wam, że podzielałem najzupełniej antypatyę Esquire'a i nienawidziłem kapitana z głębi duszy.

Rozdział X.

Podróż.

Przez całą noc krzątaliśmy się niezmordowanie nad ostatecznem uporządkowaniem wszystkiego, zamęt zaś zwiększał się, gdyż co chwila przybijały do okrętu łodzie, pełne przyjaciół i znajomych Esquire'a, którzy jak n. p. mr. Blaudly i inni, chcieli pożegnać go raz jeszcze i życzyć mu szczęśliwej podróży i również pomyślnego powrotu. Nie pamiętam, bym się kiedykolwiek choć w połowie tak zmachał w naszej oberży pod „Admirałem Benbow". Byłem też zmordowany jak pies gończy, gdy niemal już o świcie nasz bosman zatrąbił w róg i majtkowie wzięli się do lin. Ale gdybym był nawet dwa razy więcej zmęczony, nie byłbym za nic w świecie opuścił teraz pokładu. Wszystko było dla mnie tak nowe i ciekawe — krótkie słowa komendy, ostry dźwięk gwizdawki i widok ludzi, sunących spiesznie na swoje miejsca, jak cienie, w bladym połysku latarni okrętowych.

— No, wieprzaku! — zawołał jakiś głos. — Machnij no jaką zwrotkę.

— Naszą starą — krzyknął drugi.

— Dobrze, dobrze, koledzy! — zawołał Długi John, który stał obok wsparty na szczudle i zagrzmiał na nutę i słowa, znane mi tak dobrze:

„Piętnastu ludzi przy skrzyni martwego człowieka" —

I cały chór podchwycił żwawo:

— *„Yo-ho-ho! z butelką rumu w ręku!"*

A za trzeciem ho! lina kotwicy zaczęła się równo i wolno podnosić ,dzięki ich zgodnemu wysiłkowi.

Pomimo najwyższego zaciekawienia, jakiem mnie ten widok przejmował, myśl moja przeniosła się w mgnieniu oka do naszej starej gospody pod „Admirałem Benbow." Zdawało mi się, że słyszę głos kapitana, głuszący wrzaskliwie chór. Ale wkrótce kotwica została wydobytą i zawisła około dzioba statku, który też niebawem zaczął się poruszać, a brzegi i sąsiednie okręty znikły nam powoli z oczu. Zanim zszedłem na dół, by się położyć i zdrzemnąć na godzinkę, „Hispaniola" pędziła już całą siłą swych żagli ku Wyspie Skarbów.

Nie będę opisywał naszej podróży szczegółowo. Była ona, wogóle mówiąc, dość pomyślną. Okręt był świetnie zbudowany i płynął wybornie, majtkowie, składający załogę, okazali się doświadczonymi marynarzami, a kapitan znał swe rzemiosło doskonale. Ale zanim zbliżyliśmy się do Wyspy Skarbów, zaszło parę wypadków, które muszę zaznaczyć.

Przedewszystkiem ms. Arrow przeszedł najgorsze obawy kapitana. Nie posiadał on żadnej powagi u majtków, którzy robili z nim, co sami chcieli. Ale to jeszcze nie wszystko. Ledwie dwa dni znajdowaliśmy się na morzu, gdy mr. Arrow zaczął się pojawiać na pokładzie pijaniuteńki, o czem świadczyły dowodnie jego błędne oczy, zaczerwienione policzki, plątający się język, oraz inne niemniej jawne oznaki.

Raz po raz odsyłano go na dół za pokutę. Czasem w tym nietrzeźwym stanie padał i tłukł się dotkliwie. Czasem dzień cały leżał w swym hamaku w sali ogólnej, a czasem przez parę dni był prawie trzeźwy i wtedy spełniał swą robotę należycie.

Nie mogliśmy w żaden sposób dojść, skąd dostaje on wódki. Była to tajemnica okrętowa. Daremnie śledziliśmy go jak najpilniej, nie zdołaliśmy jej rozwiązać, a gdy zapytywaliśmy go o to wprost, śmiał się tylko, gdy był pijany, a gdy trzeźwy, zaklinał się na wszystkie świętości, że nigdy nic do ust nie bierze, prócz wody.

Był on nietylko zupełnie bezużyteczny, jako oficer okrętowy, ale stanowił bardzo zły przykład dla załogi, a przytem było jasnem, że jeżeli rzeczy pójdą tak dalej, to może jeszcze upaść gdzie po pijanemu i poprostu zabije się. Nikt też nie zdziwił się wielce, ani zasmucił, gdy pewnej burzliwej i ciemnej nocy mr. Arrow znikł nagle i nie można go było nigdzie odszukać.

— Wpadł do morza — zawyrokował kapitan. — Tem lepiej panowie, to nam oszczędza kłopotu zakucia go w kajdany.

Ale oto pozostaliśmy bez pierwszego szypra i trzeba było z konieczności zamianować w jego miejsce kogoś z załogi na Ober-bosmana. Job Anderson był najodpowiedniejszym kandydatem na to stanowisko i chociaż zachował swój dawny tytuł, zastępował, właściwie mówiąc, szypra.

Mr. Trelavney podróżował niegdyś bardzo wiele na morzu i jego żeglarskie wiadomości przydały nam się bardzo, mógł bowiem pełnić straż, gdy powietrze było pogodnem. Przytem retman, Izrael Hauds, był to stary, doświadczony marynarz, bardzo staranny i sprytny, na którego można się było prawie we wszystkiem spuścić.

Był on wielkim przyjacielem i powiernikiem Długiego Johna Silwera, i przy tej sposobności muszę powiedzieć parę słów o naszym kucharzu okrętowym „wieprzaku,“ jak go załoga nazywała.

Aby zapewnić sobie na okręcie możliwą swobodę ruchów i rąk, przywiązał on swoją kulę rzemieniem do szyi. Warto było widzieć, jak utkwiwszy róg szczudła w dylowaniu podłogi, pochylając się zgodnie z każdem poruszeniem stołka, krzątał się po kuchni okrętowej tak pewnie, jakby po stałym lądzie. Jeszcze dziwniejszem było, gdy w czasie najburzliwszej pogody i najsilniejszego kołysania się okrętu, chodził po pokładzie. Umyślnie dla niego, przeciągnięto wzdłuż buty parę linek, kolczyki Długiego Johna, jak mówiono. Czepiając się rękoma tych linek, i to opierając się na szczudle, to włokąc je za sobą na rzemieniu, uwijał się z miejsca na miejsce, równie szybko, jak każdy z nas. Jednakże niektórzy z majtków, co znali go z dawniejszych wspólnie odbytych podróży, litowali się nieraz głośno nad jego obecną niedolą.

— To nie ladajaki, pospolity człowiek, ten „wieprzak“ — mówił mi retman. — Otrzymał on w młodości piękną edukacyę i umie gadać jak z książki, gdy chce. A dzielny! — Niczem lew! Widziałem na własne oczy, jak raz w bójce pochwycił czterech napastników i stuknął ich łbami o siebie, jakby orzechy tłukł — a był bezbronny!

Cała załoga szanowała go i słuchała. Umiał on mówić z każdym i każdemu przysłużyć się jaką drobnostką. Mnie okazywał stale niezmienną życzliwość i zawsze wesoło witał mnie, gdy zachodziłem do kuchni, którą utrzymywał czysto, jak z igły: statki kuchenne, starannie wyczyszczone, lśniły się poprostu, a w kącie wisiała klatka z papugą.

— A, Hawkins! — mawiał, ujrzawszy mnie — proszę, proszę bardzo, chodź pogawędzić trochę ze starym Johnem. Nikt nie jest pożądańszym gościem od ciebie, mój synu. Usiądź sobie, pogadamy. A oto kapitan Flint —nazwałem moją papugę kapitanem Flintem, imieniem słynnego piraty — oto kapitan Flint prorokuje nam pomyślną podróż — nieprawdaż, kapitanie?

Tu papuga zaczynała skrzeczeć z wielką szybkością: „Dukaty, dukaty!“ aż John zniecierpliwiony, zakrywał klatkę chustką, by zmusić ptaka do milczenia.

— Ma ona już może ze dwieście lat, Hawkins — mówił — papugi żyją niezmiernie długo, a kto wie, może nawet wcale nie umierają. A nikt z pewnością nie patrzył na tyle zbrodni w świecie, co ona, chyba sam szatan! Moja papuga żeglowała niegdyś z wielkim kapitanem Englandem, znamienitym pirotą. Była na Madagaskarze i na Malabarze i w Surinam i w Portobello. Była przy wydobywaniu z dna morza zatopionych galiot hiszpańskich. Tam się nauczyła powtarzać swoje „dukaty.“ Nie dziwnego: wydobyto ich wówczas na sumę trzystu pięćdziesięciu tysięcy, Hawkinsie! Była przy zdobyciu fregaty „Wice-król Indyi“ przy Goa, tak to! A patrząc na nią, możnaby sądzić, że to sobie zwykły, głupi ptak. Ale wąchałeś proch także, prawda kapitanie?

— Baczność! Naprzód! — wrzaśnie w odpowiedzi papuga!

— Ach, zuch z niej marynarz! — mówił kucharz i dostając cukier z kieszeni, podawał go jej do klatki; wtedy ptak zaczynał się rzucać i chwytać dzióbem za pręty i kląć przeraźliwie, jak ostatni dorożkarz.

— Tak — to bywa— wygłaszał sentencyonalnie John. — Przy sadzach zawsze się zawalasz. Oto mój biedny, niewinny ptak klnie, na czem świat stoi, choć nie rozumie przecie z tego ani słowa. Kląłby tak samo, bez najmniejszej złej intencyi, nawet w obecności samego kapelana. — Mówiąc to, John gładził włosy u czoła zwykłym swoim uroczystym gestem, tak, że patrząc nań, myślałem, iż jest to najuczciwszy z ludzi.

Tymczasem Esquire i kapitan Smollet pozostawali z sobą, jak dawniej, w bardzo chłodnych stosunkach. Esquire nie ukrywał się z tem wcale: pogardzał kapitanem.

Kapitan, ze swej strony, nigdy się nie odzywał niezapytany, wtedy odpowiadał krótko, ostro i sucho. Przyznawał, gdy go przyparto do ściany, że się pomylił co do załogi, że większość majtków była pracowitą i karną, a na okręcie działo się wszystko, jaknajlepiej. Co zaś do okrętu, to faktycznie był w nim zakochany.

Posłuszny jest sterowi, jak najprzykładniejsza żona mężowi sir — mawiał.

— Ale — dodawał zaraz — to jeszcze nie koniec podróży i, powtarzam, nie lubię wypraw podobnego rodzaju.

Słysząc to, Esquire odwracał się zawsze plecami i chodził po pokładzie, wydymając usta.

— Nie, ten człowiek wyprowadzi mnie w końcu z cierpliwości — mruczał.

Mieliśmy parę burz także, ale uwydatniły one tylko tem jawniej nieoszacowane zalety Hispanioli. Wszyscy ludzie na statku czuli się zupełnie zadowoleni i nie mogło być inaczej, gdyż jestem przekonany, że od czasów korabia Noego, żadnej załodze okrętowej tak nie dogadzano i tak jej po prostu nie psuto. Podwójne porcye rumu krążyły za lada jakim powodem, nawet w dnie powszednie podawano pudding, na przykład, skoro Esquire się dowiedział, że były to imieniny którego z majtków, a w kącie na pokładzie stała ciągle beczka z jabłkami, z której każdy mógł czerpać dowoli.

— Nic stąd dobrego nie wyniknie — mawiał kapitan do doktora Livesey'a.

— Ludzie się rozpuszczą, jak dyabły, przekonasz się pan.

Ale beczka ta oddała nam nieocenioną usługę, albowiem dzięki jej wpadliśmy na trop nikczemnej zdrady, która mogła nas wszystkich zgubić.

Oto, jak się to stało.

Wypłynęliśmy już ze strefy stałych wiatrów — nie wolno mi tłumaczyć się jaśniej — i popychani przyjaznym wiatrem, pędziliśmy rozpiętemi żaglami wprost ku naszej wyspie. Były to już ostatnie dnie naszej morskiej podróży i tejże nocy, a najdalej około południa następnego dnia, powinniśmy byli ujrzeć w odległości Wyspę Skarbów. Płynęliśmy w kierunku S. S. W., wiatr był pomyślny i morze ciche. Hispaniola sunęła gładko, jak strzała, zanurzając się niekiedy dzióbem w fale morskie, które pieniąc się z pluskiem i szumem rozbryzgiwały się w koło statku. Wszyscy patrzyli z wytężeniem przed siebie, wszyscy byli w najlepszych humorach, gdyż zbliżaliśmy się ku końcowi pierwszej części naszej wyprawy.

Otóż właśnie po zachodzie słońca, gdy skończywszy moją robotę dzienną, zamierzałem już udać się na spoczynek, przyszła mi ochota zjeść jabłko. Pobiegłem na pokład. Straż wszystka znajdowała się u dzióba okrętu, wypatrując wyspy. Człowiek u steru zajęty był pilnie śledzeniem kierunku wiatru, gwiżdżąc z cicha przez zęby. Był to jedyny głos, naruszający powszechną ciszę, oprócz pluskotu fal, trących się o liny i boki okrętu.

Na dnie beczki leżało tylko jedno jabłko. Chcąc je dostać, musiałem wleźć do beczki, gdzie — zmęczony — usiadłem sobie. Może być, że uśpił mię szum fal i kołyszący ruch okrętu, dość że zdrzemnąłem się trochę, gdy w tem zadudniły szybkie kroki i jakiś człowiek spuścił się ciężko na ziemię tuż obok. Cała beczka drgnęła, gdy oparł się o nią plecami. Chciałem już wyskoczyć, kiedy człowiek ten zaczął mówić. Był to głos Silver'a. Dość mi było tych kilku pierwszych słów, a za żadne skarby świata nie byłbym zdradził swej obecności. Skulony na dnie, słuchałem, drżąc jak liść, wstrząsany na przemian strachem i ciekawością — gdyż z tych kilku zrozumiałem, że życie wszystkich uczciwych ludzi na okręcie zależy odemnie.

XI.

Co usłyszałem w beczce z jabłkami.

— Nie mówię ci, że nie ja — przeczył komuś Silver. — Flint był kapitanem, a ja kwatermistrzem i miałem jeszcze moje obie nogi. Tegoż samego dnia straciłem nogę, a stary Pew oczy; amputował mnie pewien chirurg — człowiek uczony, z uniwersytetu, mówił po łacinie, jak z książki — nie żarty! a mimo to powieszono go, jak psa i zgnił razem z innymi — w Corso Castle. To zaś co mówisz, przytrafiło się ludziom Roberts'a, a wszystko to dlatego, że mieli zwyczaj zmieniać imiona swoich okrętów. Raz okręt nazywał się „Szczęście Królewskie,“ to znowu inaczej. Mojem zdaniem zaś, okręt, gdy się go raz ochrzci, powinien zachować stale swoją nazwę, ot co jest. A czy nie umknęliśmy szczęśliwie na „Kassandrze“ z Malaboru, gdy England pochwycił „Wicekróla Indyi?“ I również szczęście sprzyjało nam na „Wiarusie,“ starym okręcie Flint'a, a widziałem go nieraz, jak cały był śliski od krwi i niemal tonął pod ciężarem złota.

— Ach! to był kwiat korsarstwa, ten Flint! — zawołał, pełen zachwytu, głos najmłodszego z majtków.

— Dawis, to był także zuch, bez wątpienia — prawił dalej Silver, — ale nigdy z nim nie żeglowałem, tylko z England'em najpierw, a potem z Flintem — oto wszystko — no i teraz, na moją własną rękę, aby tak rzec. Zarobiłem dziewięćset funtów szterlingów pod England'em i dwa tysiące pod Flint'em. Piękna sumka, jak dla prostego majtka, co?

Wszystko złożone bezpiecznie w banku. Nie warto zarabiać, jeżeli się nie umie oszczędzać, to wam mówię. Gdzież są teraz ludzie Englanda? Licho ich wie. A ludzie Flinta? No, ci siedzą sobie po większej części spokojnie tu, na pokładzie i zajadają smacznie pudding — a nie dawno niejeden z nich wyciągał może rękę po żebraninie. Stary Pew, gdy stracił wzrok, powinienby był mieć wstyd w oczach, a nie siać pieniędzmi — po tysiąc przeszło funtów szterlingów rok rocznie, niby jaki lord z parlamentu. A gdzież on teraz? Cóż, umarł i ziemię gryzie, tak, ale jeszcze dwa lata temu — dreszcz mnie przechodzi na samą myśl o tem — po prostu marł z głodu! Żebrał i kradł i podrzynał ludziom gardła i marł mimo to z głodu — u pioruna!

— No, w takim razie, cały zawód licha wart! — odezwał się znowu młody majtek.

— Licha wart dla głupców i waryatów! masz słuszność! — zawołał Silver. — A teraz, ot, co ci powiem, mleko masz wprawdzie jeszcze pod nosem, ale masz rozum, poznałem to odrazu i dlatego będę gadał z tobą, jak z człowiekiem.

Możecie sobie wyobrazić, co czułem, gdy ten szkaradny stary łotr zwracał się do drugiego z tem samem pochlebstwem, co niegdyś do mnie. Gdybym był mógł, byłbym go chętnie udusił ze złości. Ale on tymczasem ciągnął dalej, nie podejrzywając, że go podsłuchują.

— Taki to los rycerzy losu! Życie ich nielekkie i każdej chwili mogą zawisnąć na szubienicy, ale póki ich to nie spotka, opływają we wszystko, jak pączek w maśle, a gdy wyprawa się uda, pobrzękują w kieszeni tysiącem funtów szterlingów, nie szelągami. Ale cóż stąd, gdy wszystko idzie na rum i hulanki, a potem hajda znowu na morze! ledwie nie w jednej koszuli! Ale ja tak nie postępuję. Ja składam wszystko, trochę tu, trochę tam, nigdzie zbyt wiele, a to przez ostrożność. Mam pięćdziesiąt lat, uważasz, to jest moja ostatnia wyprawa, gdy z niej powrócę, będę żył sobie uczciwie i statecznie, niby jaki gentleman. Czas już, prawda? ach! ale i dotąd żyłem niezgorzej! Nigdy nie odmawiałem sobie niczego, używałem wbród, aż się dusza radowała: spałem miękko i jadłem smacznie przez wszystkie dnie mego życia, wyjąwszy wtedy, gdy byłem na morzu, a jak zacząłem? Jak prosty majtek, zupełnie tak samo jak ty.

— No, — odezwał się majtek — ale teraz wszystkie twoje oszczędności przepadły. Nie będziesz miał chyba czoła pokazać się w Bristolu po tej sprawie!

— A gdzież się one znajdują, co, jak myślisz? — zapytał Silver drwiąco.

W Bristolu, w bankach, oraz innych kasach, — odparł jego towarzysz.

— Były tam, były istotnie, gdyśmy podnosili kotwicę — odpowiedział kucharz. — Ale moja stara jejmość musiała je zabrać stamtąd dawno. A oberża także sprzedana; dom i klientela i wszystkie sprzęty, do ostatniego rupiecia! I teraz moja panna płynie gdzieś pewno z kapitałami na moje spotkanie. Powiedziałbym ci nawet, gdzie to ma nastąpić, gdyż ufam ci zupełnie, ale nie chcę budzić zazdrości pomiędzy majtkami.

— A czy możesz ufać twojej imości? — zapytał tamten.

— Rycerze fortuny — objaśnił kucharz — zwykle nawet nie bardzo dowierzają samym sobie i mają słuszność, bądź tego pewien. Ale ja mam sobie mój sposób. Majtek, coby spróbował wywieść w pole starego Johna, musiałby się pożegnać z tym światem. Byli tacy, co się bali starego Pewa, a drudzy bali się Flinta, ale Flint sam bał się mnie! Bał się, choć był pyszny, jak czart! Wiesz pewnie, że chyba świat nie znał dzikszych ludzi, jak ludzie Flinta, sam dyabeł uląkłby się wypłynąć z nimi na morze! Otóż, powiadam ci, a wiesz, że się nie przechwalam, i widziałeś sam, że niezły ze mnie koleżka, ale gdy byłem kwatermistrzem, ludzie drżeli przedemną, niczem najpotulniejsze baranki! Tak, tak, stary John umiał utrzymać ład na swoim okręcie!

— Słuchaj, powiem ci szczerze —odezwał się chłopiec — dotąd nie w smak mi było całe to przedsięwzięcie, ale teraz, gdyś mi przemówił do rozumu, jestem wasz, oto moja ręka.

— Zuch jesteś, zuch! — odparł ucieszony Silver, i ścisnęli sobie dłonie tak serdecznie, że aż beczka się zatrzęsła. — Pyszny z ciebie będzie rycerz fortuny, jak mi życie miłe!

Zacząłem rozumieć powoli o co tu chodzi i jakie jest znaczenie używanych przez nich zwrotów. „Rycerzem fortuny“ nazywali oni ni mniej ni więcej tylko najzwyklejszego piratę, a mała scenka, którą podsłuchałem, była

ostatnim aktem w procesie zwerbowania ostatniego może uczciwego majtka, jaki pozostał na pokładzie. Pod tym względem wątpliwość moja została wkrótce zaspokojoną. Silver gwizdnął z cicha. Na to hasło jakiś trzeci człowiek zbliżył się i usiadł przy beczce obok niego.

— Dick jest nasz — rzekł Silver.

— O! wiedziałem, że Dick będzie nasz odparł głos retmana, Izraela Standsa.

Dick nie głupi. — Mówiąc to, Izrael przesunął prymkę tytuniową z jednego kąta ust w drugi, splunął i mówił dalej. —Ale oto co chciałbym wreszcie wiedzieć: jak długo jeszcze mamy tu siedzieć potulnie z założonemi rękoma? Mam już dosyć kapitana Smollet, dość już on się mną nakomenderował, do kroćset! Chciałbym także przespać się w ich kajutach, skosztować ich marynat i win, ot co jest!

— Izraelu — powiedział Silver — nigdy nie grzeszyłeś rozumem, to ci trzeba przyznać. Ale za to usłyszysz może co ci powiem, bo masz przecie długie uszy. A oto, co chcę ci powiedzieć: będziesz spał dalej na pokładzie i będziesz mówił słodko i słuchał pokornie i będziesz się trzymał trzeźwo i nie tkniesz wina, ani marynat, póki ci nie powiem, że już czas. Zapamiętaj to sobie dobrze, mój synu.

— Owszem, ja się nie sprzeczam — mruczał Izrael. — Pytam się tylko kiedy? To jedno chciałbym wiedzieć!

— Kiedy! u pioruna! — zawołał Silver. — Chcesz wiedzieć kiedy? Powiem ci więc kiedy. W ostatniej możliwie chwili. Oto kiedy. Zważ sam. Mamy wybornego marynarza, kapitana Smolleta, który prowadzi nam ten okręt jak po maśle; mamy Exquirea i doktora, którzy posiadają mapę i wiedzą o wszystkiem, a ty, czy wiesz, gdzie leży wyspa? nie, ani ja też. Otóż, myślę, że niech Esquire i doktor znajdą skarb i pomogą nam przenieść go na pokład, u stu kartaczy! A potem zobaczymy. Gdybym mógł polegać na was, wy, bękarci czarownicy, wolałbym, aby kapitan Smollet przewiózł nas z powrotem do połowy drogi, wtedy dopiero byłby czas uderzyć.

— Albośmy tu wszyscy nie marynarze? — zawołał Dick chełpliwie.

— Wy marynarze! My tu wszyscy jesteśmy prości majtkowie — przerwał mu opryskliwie Silver. — Potrafimy kręcić sterem, ale kto będzie prowadził okręt? Oto, o coście się wszyscy rozbijali od pierwszego do ostatniego. Gdyby tak na mnie, pozwoliłbym, aby kapitan Smollet dopłynął z nami choć do passatów, wtedy nie groziłyby nam już żadne niebezpieczeństwa po drodze i do brzegu byłoby już niedaleko. Ale znam was, niestety! I dlatego skończę z nimi na wyspie, skoro tylko przeniesiemy skarby na okręt, a szkoda. Ale wy nie zaznacie spokoju, póki się nie spijecie na umór. Niech mię piorun spali! Aż mi żal, że muszę żeglować z taką hołotą!

— Cicho, cicho, Długi Johnie — zawołał Izrael. — Któż ci się sprzeciwia?

— Któż, jak nie wy! Czy to mało widziałem statków, lepszych od tego, jak szły na dno i chłopców, rzeźkich, jak wy, których kości suszą się na szubienicy! — A wszystko to przez ten pośpiech niepoprawny. Rozumiecie? Nie od dziś jestem na morzu. Gdybyście chcieli się hamować i płynąć powolnie z prądem, jeździlibyście w karetach, ani chybi. Ale co to wam o tem gadać! Znam was przecie. Każdy gotów się dziś nażłopać rumu, a jutro choć na szubienicę.

— No, no, Johnie, wszyscy wiemy, że z ciebie jest kawałek kaznodziei, ale inni potrafią sterować i kierować nie gorzej od ciebie — odparł Izrael. — Cóż to szkodzi, że lubią pobawić się trochę. Nie są tacy wyniośli i przezorni, jak ty, ale umieją hulać wesoło, jak przystało na dobrych kamratów.

— Tak? — zapytał Silver. — A gdzież są oni teraz, ci mili koleżkowie? Pew należał do nich i skończył, jak ostatni żebrak. Flint również — i zapił się na śmierć w Savannah. Ach, miła to była trzódka, miła, tylko gdzież się wszyscy podzieli?

— Wszystko to pięknie, ale, gdyjuż ich chwycimy za gardło, cóż z nimi zrobimy? — pytał Dick.

— Tak to lubię! — zawołał kucharz z podziwem. — To się nazywa rozumieć interes. No, a cóż sobie myślisz? Wyrzucimy ich może na brzeg, jak nadpsute kasztany? Takby postąpił England. Albo zakłujemy, jak wieprze? Takby był zrobił Flint, albo Billy Bones.

— O, Billy znał się na rzeczy! — powiedział Izrael, tonem uznania. — Umarły nie kąsa — mawiał on zwykle. Teraz i Bill już nie żyje i wie co ma o tem trzymać. Ale jeżeli kto, to on nie żartował nigdy, nie było obawy.

— Masz racyę — rzekł Silver — Billy nie żartował. Teraz słuchajcie: ja jestem człowiek łagodny i uprzejmy, jak jaki gentleman, sami to zawsze mówicie. Ale tym razem sprawa jest poważną. Obowiązek przedewszystkiem — towarzysze. Ja głosuję za śmiercią. Bo gdy wrócę do Anglii i zasiądę w parlamencie, nie chcę, by który z tych tam panów w kajucie zjawił się nagle nieproszony, jak dyabeł za plecami kającego się grzesznika. Ale tymczasem czekajmy cierpliwie, powiadam, a gdy przyjdzie pora, zbierzemy obfite żniwo.

— Johnie — krzyknął retman — zuch z ciebie!

— Powiesz to, Izrelu, gdy zobaczysz koniec — odparł skromnie Silver. — Jednego tylko zastrzegam sobie: Trelawney'a. O! z jakąż rozkoszą zerwę mu ten jego cielęcy łeb z tułowia, temi oto rękoma! Dick, chłopaczku — dodał nagle, przerywając — skocz no kochanie, do beczki i przynieś mi jabłuszko, zaschło mi w gardle.

Możecie sobie wyobrazić, w jakim byłem strachu! Chciałem wyskoczyć i drapnąć czemprędzej, ale siły odmówiły mi posłuszeństwa. Serce zamarło mi w piersiach, i trząsłem się cały, jak liść. Słyszałem, że Dick podnosi się zwolna, w tem widocznie ktoś go zatrzymał i rozległ się głos Hands'a.

— Pal dyabli beczkę i jabłka! Co tam będziesz ssał te gniłki, John! Ot, lepiej poczęstuj nas rumem.

— Dick — odezwał się Silver — ufam ci zupełnie. Mam baryłeczkę u siebie na dole Oto klucz. Nalej gąsiorek i przynieś go nam tu.

Pomimo całego przerażenia, domyśliłem się odrazu skąd to Mister Arrow dostawał gorące trunki, które go przyprawiły o zgubę.

Dick bawił niedługo, a podczas jego nieobecności Izrael szeptał coś po cichu wprost do ucha kucharza. Mogłem pochwycić zaledwie parę słów, ale dowiedziałem się mimo to bardzo ważnej wiadomości.

— Za nikogo zresztą nie ręczę — powiedział Mister Hands. Stąd można było wnosić, że są jeszcze uczciwi majtkowie na okręcie.

(Ciąg dalszy nastąpi).





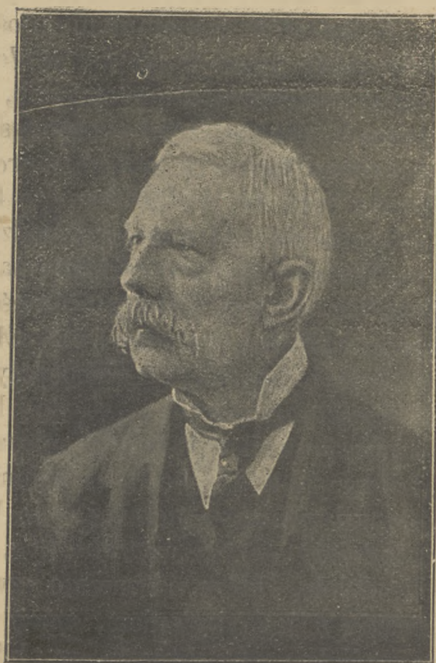
Z bieżącej chwili.

Uroczystość poświęcenia

nowego kościoła parafialnego w Ostrowie.

Zanim przystąpimy do opisu uroczystości poświęcenia nowego kościoła parafialnego w Ostrowie, zamieszczamy wpierw następujące z wiarogodnego i kompetentnego źródła łaskawie udzielone nam szczegóły, dotyczące budowy wzmiankowanego kościoła.

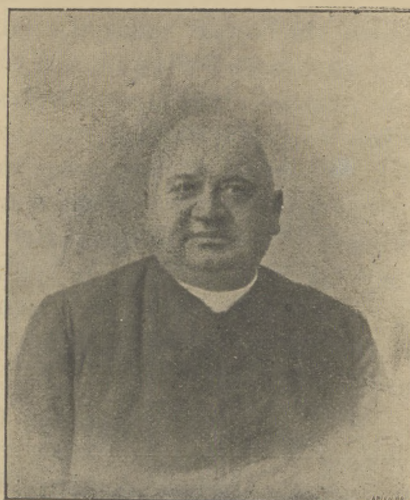
Nowy kościół w Ostrowie jest jednym z największych kościołów w nowszych czasach wybudowanych; jest to bazylika z trzema nawami i nawą krzyżową. Presbyteryum niezwykłych rozmiarów, 13 metrów szerokie, sklepione jest kopułą podtrzymaną przez 30 kolumn w dwóch piętrach — jedne nad drugiemi; otoczone jest



Książę Ferdynand Radziwiłł z Antonina kolator kościoła parafialnego w Ostrowie.

czterema kaplicami. Nawa główna 11,5 m. szeroka a 14 wysoka i 42 m. długa; cały kościół 67 m. długi a w nawie krzyżowej 33 m. szeroki, może pomieścić 4000 ludzi.

Budowę rozpoczęto w r. 1903 z wielkiemi trudnościami, gdyż przy ko-



Ś. p. ks. Walenty Śmigielski.

paniu okazało się, iż grunt jest bagnisty. Pod całym kościołem musiano dać płyty z betonu na 1 m. grube z wkładkami żelaza. Pod wieżę zaś 50 metrów wysoką musiano wbić 200 pali z drzewa na 8 m. głębokości w ziemię, by uniosła ogromny jej ciężar.

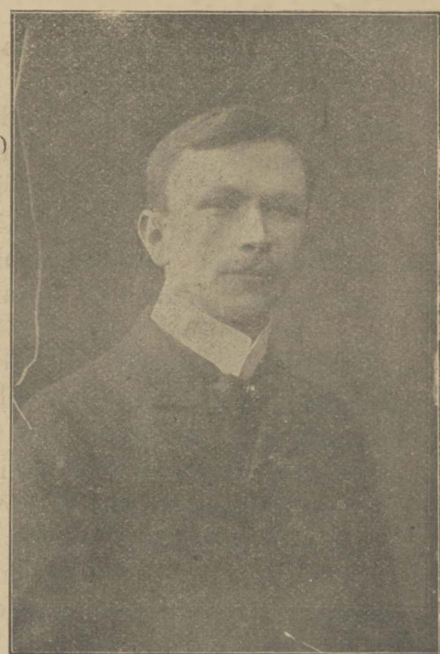
Świątynia przypomina stylem kościoły romańskie w górnych Włoszech, lecz w planie i formach pomyślana jest oryginalnie. Proporcye jej szerokie — materyał, surowa cegła z ozdobami w białym piaskowcu — w krajach nad Wisłą położonych często w dawnych stuleciach używany. Fasada główna ozdobna portykiem z białego piaskowca z tympanonem, który mieści rzeźbę dłuta Wł. Marcinkowskiego, przedstawiającą nawiedzenie Najśw. Panny Maryi z uwieńczonym Chrystusem na krzyżu z bronzu tegoż artysty; kapitele kolumn ozdobione główkami aniołków o typach polskich-wieśniaczych. Szczyt podzielony kolumnami na głębokie nisze. Z dwóch stron głównej nawy prowadzą otwarte portyki, na kolumnach sklepione, do naw bocznych. Drzwi dębowe ozdobione obiciami kutemi misternie ręką.

Nawy krzyżowe z czterema wieżycami po bokach i olbrzymiemi oknami rozetowemi.

Presbyteryum wznosi się wyżej ponad resztę kościoła i tworzy oktogon średnicy 16 metrów, ozdobiony galeryą z kolumienek z białego piaskowca.

Wieża główna 8 m. szeroka, 150 m. wysoka, stoi przy boku fasady głównej i dominuje swym ogromem nad całym kościołem i otoczeniem. Mieści 3 dzwony ciężkie o wspaniałej harmonii tonu.

Wnętrze odznacza się monumentalną powagą i prostotą. Wspaniałe witraże przedstawiające w presbyteryum sceny z nowego i starego testamentu,



Roger Sławski.

a w nawie krzyżowej wniebowstąpienie i ukrzyżowanie Chrystusa Pana, rzucają tajemnicze barwy na białe kolumny dźwigające kopułę.

Posadzka w presbyteryum i 8 stopni prowadzących do ołtarza z popielatego marmuru. — Ołtarz sam z białego marmuru uwieńczony postaciami Matki Boskiej i dwoma aniołami nadnaturalnej wielkości z alabastru dłuta Wł. Marcinkowskiego.

Kazalnica z różnokolorowych greckich marmurów spoczywa na 8-miu białych kolumnach.

Marmurowa chrzcielnica z kopułą z bronzu i ołtarz boczny z wizerunkiem Matki Boskiej Częstochowskiej znajdują się w osobnej kaplicy, której witraże (fundacyi śp. ks. dziekana Śmigielskiego) przedstawiają grające na różnych instrumentach anioły.

Dwa kolosalnych rozmiarów świeczniki z bronzu o formach pierścienia zawieszonego na łańcuchach w nawie krzyżowej — i 8 mniejszych w nawach bocznych — dają wieczorem prawie światło dzienne.

Wnętrze czeka na bogatszą polichromię.

Koszta wszelkie wynosiły 400 000 marek.

Kościół w Ostrowie oraz jego wewnętrzne urządzenie jest dziełem p. Rogera Sławskiego, budowniczego rządowego z Poznania, długoletniego współpracownika wydziału kościołów w ministeryum robót publ. w Berlinie.

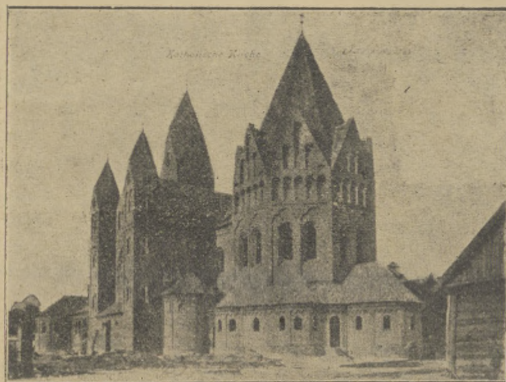
Przy wykonaniu uwzględniono same prawie firmy polskie a w szczególności siły miejscowe ostrowskie; prace z kamienia i marmuru wykonał p. Ballenstedt z Poznania.

* * *

Pisząc o nowym kościele parafialnym w Ostrowie, podajemy jednocześnie niektóre szczegóły z dziejów starego kościoła parafialnego tamże.

Pierwszy kościół w Ostrowie wystawiono w 1404-ym roku. Ostrów, będący wówczas jeszcze małą nieznaczną osadą, należał do parafii wysockiej. Dopiero w roku 1434 odłączono Ostrów z wsiami: Krempem, Zembcowem i Zacharzewem od parafii wysockiej i utworzono zeń parafię samodzielną, której wyposażeniem zajął się ówczesny dziedzic Ostrowa, Jerzy, kanonik kolegiaty Najśw. Maryi Panny w Kaliszu. W 1442-im roku powiększył wyposażenie kościoła Mikołaj z Ociąża.

Najstarszy ten kościół parafialny stał na miejscu, gdzie stoi teraz gimnazyum. Był to zupełnie skromny, drewniany kościołek, nie różniący się niczem od zwykłych kościołów wiejskich. Także uposażenie było bardzo skromne, o czem świadczy między innemi spis sprzętów kościelnych z 1685-go roku. Dopiero w końcu wieku XVII. i w wieku XVIII. powiększyły majątek kościoła liczne zapisy i legaty poczynione na rzecz kościoła we



Nowy kościół parafialny w Ostrowie od strony presbyterium.

wszystkich stanach, zatem przez dziedziców dóbr ostrowskich, mieszczan i także lud wiejski. W końcu XVIII. wieku kościół bardzo podupadł, więc władze duchowne nakazały odnowienie i reperacyę świątyni. Wykonanie było prawie niemożliwe wobec tego, że kościół przetrwał już prawie cztery wieki. Właśnie w tym czasie dobra ostrowskie przeszły drogą spadku na własność Michała księcia Radziwiłła, który poczynił starania o powiększenie parafii ostrowskiej dołączeniem do niej swych posiadłości, należących do parafii wysockiej.

Parafia powiększyła się wskutek tego przyłączenia o $^2/_3$ dotychczasowego obszaru, gdyż dodano do niej następujące wsie: Przygodzice, Janków Przygodzki, Topolę wielką, Topolę małą, Gorzyce i Pruślin. Wobec takiego nadzwyczajnego powiększenia parafii, okazała się konieczna potrzeba zbudowania większego kościoła. Michał książę Radziwiłł zobowiązał się wystawić w przeciągu 3-ch lat kościół



Nawa główna w nowym kościele parafialnym w Ostrowie.

nowy i płacić nadto rocznie po 200 złotych polskich na utrzymanie kapłana.

Stary kościół istniał 378 lat, gdyż zniszczono go w roku 1782-im. Nowy kościół nie miał wieży, więc dzwony umieszczono w dzwonnicy drewnianej, wystawionej z boku kościoła. Kościół zbudowany był we formie bazylikowej o głównej nawie 12 m. szerokiej, a bocznych po $2^1/_2$ metra szerokości.

Główna nawa pokryta była sklepieniem drewnianem i oświetlona okrągłemi oknami; nawy boczne miały zwykły sufit. Część frontowa ozdobiona była filarami, na których spoczywał chór. Boczne nawy podzielono na osobne kaplice z ołtarzami; ołtarzy było 8. Ponad zakrystyą znajdowały się z obu stron loże czyli chórki, które oddano w 1792-im roku na wyłączny użytek cechowi szewskiemu.

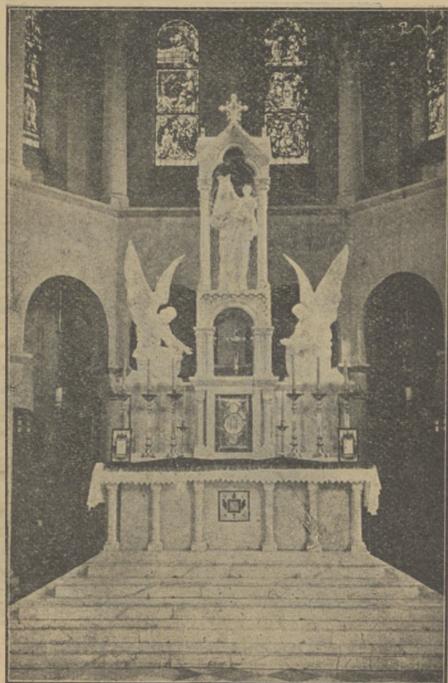
Wnętrze kościoła było z początku tylko wybielone. Ostatni swój piękny wygląd otrzymał stary kościół z łaski księdza księcia Edmunda Radziwiłła; jednocześnie umieszczono pod sklepieniem 8 pięknych olejnych obrazów, przedstawiających sceny z życia Chrystusa Pana.

Kościół stary mógł stać jeszcze długie lata, gdyż materyał był jeszcze zdrowy, gdyby nie nadzwyczajny przyrost ludności, który spowodował wystawienie nowej, pięknej i obszernej świątyni. Dziwnym zbiegiem okoliczności położono kamień węgielny pod budowę nowego kościoła właśnie w pięćset lat po wystawieniu pierwszego kościoła parafialnego w Ostrowie.

* * *

Kilka słów wspomnienia poświęcić nam także należy ś. p. *ks. Walentemu Śmigielskiemu,* długoletniemu, gorliwemu proboszczowi ostrowskiemu, zmarłemu tamże dnia 3-go marca r. z. Dzieła jego są zbyt świeże, to też nie potrzeba się nad niemi rozwodzić długo. Wskazać wystarczy tylko na: *Dom katolicki* — wystawiony po części własnym kosztem, a zupełnie własnym trudem i mozołem nieboszczyka. — *Konwikt arcybiskupi* — do którego się przyczynił w znacznej mierze, wiedziony szczerą chęcią niesienia skutecznej pomocy uczącej się biednej młodzieży — *nowe probostwo,* wreszcie dzieło, które na zawsze związane będzie z jego imieniem, *nowy kościół parafialny.* Ci, którzy w bliskiej z nim żyli styczności, wiedzą, że sprawa budowy nowego kościoła zajmowała go bardzo, że pracy tej oddał się całem sercem. Nic go też w ostatnim czasie tak nie cieszyło, jak myśl, że wkrótce spełnią się gorące życzenia jego i parafian tj. że nowy kościół odda

do użytku wiernym. Pan Bóg nie dozwolił mu doczekać tej pociechy. Krótko przed śmiercią odezwał się do otaczających go: „Budowałem kościół, ale nie wejdę do niego; tak jak Moj-



Wielki ołtarz w nowym kościele parafialnym w Ostrowie.

żeszowi Pan Bóg nie pozwolił przeprowadzić naród wybrany do ziemi świętej.“

* * *

Uroczystości połączone z poświęceniem kościoła odbyły się w następującym porządku:

W sobotę, dnia 5-go b. m., o 1. w południe przyjechał Najprzew. ks. Bi-



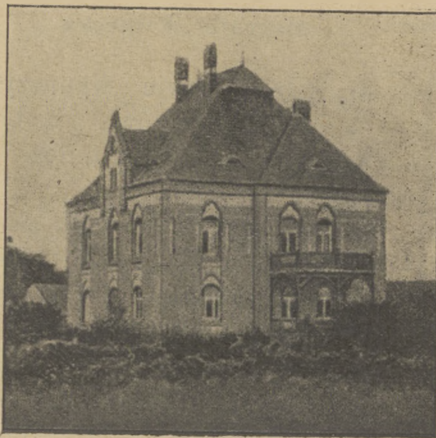
Główne wejście do nowego kościoła parafialnego w Ostrowie.

skup dr. Likowski z Poznania; dostojnego gościa powitano przed kościołem, następnie wprowadzono go uroczyście do świątyni. Po nieszporach około pół do 4. rozpoczęło się bierzmowanie. Wieczorem o pół do 9. przyjmował ks. Biskup delegacye towarzystw, stowarzyszeń i bractw.

W niedzielę, dnia 6-go b. m., rozpoczęły się w kościele ciche msze św. od godziny 6. do pół do 8. dla wszystkich tych, którzy nie mogli być obecnymi na głównem nabożeństwie.

O pół do 8. wierni opróżnili kościół, gdyż wtenczas rozpoczęły się ceremonie poświęcenia, które trwały do 10. Podczas ceremonii poświęcenia odbyła się uroczysta procesya z chorągwiami i sztandarami bractw i towarzystw, która wprowadziła relikwie św. męczenników do kościoła.

O godzinie 10. nastąpiło wprowadzenie ks. proboszcza Henryka Zborowskiego do kościoła w procesyi od probostwa do bram świątyni, a następnie odprawił ks. Biskup uroczystą mszę pontyfikalną.



Nowe probostwo w Ostrowie.

Po południu odprawiły się nieszpory i nabożeństwo różańcowe o pół do 3., poczem nastąpiło bierzmowanie. Wieczorem odbył się koncert miejscowego Tow. śpiewu w ogrodzie ks. proboszcza.

W poniedziałek, dnia 7-go b. m., o godzinie 8. konsekrował ks. biskup boczne ołtarze w kościele. Odjazd dostojnego Gościa nastąpił we wtorek, dnia 8-go b. m.

* * *

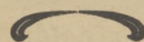
„Uroczystość poświęcenia nowego kościoła — pisze „Gazeta Ostrowska“ — odbyła się wspaniale. Ogromne zastępy ludności, jakie się w mieście ze wszech stron z okazyi tej tak rzadkiej uroczystości zebrały, świadczą, że wiara w ludzie naszym pomimo trucizny, wszczepianej przez różne systemy jej przeciwne, nie ginie, że przeciwnie potężnieje i świeci gorącą miłością do Kościoła naszego.

Przywitanie Najprzew. Księdza Biskupa przez Duchowieństwo i parafię odbyło się w sobotę.

Choć na wszystkich twarzach czytać było można uciechę na widok najwyższej Głowy naszych dyecezyi, dziwnie spokojnie, jakby brzemieniem ostatnich wypadków przygnębione i trwożne jeszcze tłumy ludu nie powitały go grzmiącym okrzykiem: Niech żyje! W ten sam dzień Najprzew. Ksiądz Biskup przystąpił do bierzmowania.

Blizko 4500 wiernych zgromadziło się, aby przyjąć sakrament św. bierzmowania. Obszerny kościół nie mógł pomieścić tej wielkiej liczby, więc Ks. Biskup na dworze musiał dokonać Sakramentu św.“

Od Redakcyi: Obszerniej rozpiszemy się o całej uroczystości w jednym z następnych numerów i zamieścimy jednocześnie podobizny ks. proboszcza Zborowskiego i księży wikaryuszów.



Złote wesele
Mieczysławowstwa hr. Kwileckich
z Oporowa

opisuje dr. Stanisław Karwowski w „Dzienniku Poznańskim“ jak następuje:

Złote wesele pp. hr. Mieczysławostwa Kwileckich było wspaniałą, a zarazem do głębi wzruszającą uroczystością, jakiej podobnej W. Księstwo Poznańskie od dawna nie obchodziło. Rzec można śmiało, że cała Polska wzięła w niej udział, jeśli nie osobiście, to myślą i sercem, bo we wszystkich dzielnicach dawnej naszej Rzeczypospolitej znani są dostojni Jubilaci i cześć ich powszechna otacza.

O zasługach p. hr. Mieczysława, seniora obywateli wielkopolskich, jako też o błogiej działalności pani hr. Maryi, o ich osobistych przymiotach, ich prawości, szlachetności, niezrównanej uprzejmości, rozwodzić się byłoby zbytecznem. Ograniczamy się więc na udzieleniu szerszym kołom społeczeństwa naszego szczegółów o przebiegu tak rzadkiej uroczystości.

Już we wtorek, 1 października, o 8 wiecz. zebrali się zaproszeni przez pp. hr. Hektorostwa i Kazimierzostwa Kwileckich goście na białej sali bazarowej, by po przywitaniu lub wzajemnem zapoznaniu się — bo byli też goście z innych dzielnic polskich — spożyć w dolnej sali bazarowej w radosnem usposobieniu kolacyę, podczas której jednak żadnej mowy nie wygłoszono. Wieczór przepędzono bardzo przyjemnie na ożywionej rozmowie.

Nazajutrz o 11 przed południem

odbyło się solenne nabożeństwo w pięknie przystrojonej katedrze. Dostojni jubilaci, poprzedzani przez urocze wnuczki i dorodnych wnuków, szli przez szpaler, wysłany dywanami i przyozdobiony zielenią, a za nimi postępowali liczni krewni i goście.

Najprzód Najprzewielebniejszy ks. biskup dr. Likowski przemówił w podniosłych słowach do Jubilatów, a następnie celebrował w asyście kilku księży mszę św.

Prawdziwie wzruszającym i budującym był widok Jubilatów, którzy mimo sędziwego wieku, klęcząc przez czas długi, składali dzięki Bogu, że im tak wielkiej łaski udzielić raczył.

Katedra, do której wpuszczono za biletami, przepełnioną była.

Po nabożeństwie znów biała sala bazarowa zapełniła się uczestnikami złotego wesela. A było to zebranie świetne. Z duchowieństwa zauważyliśmy najprzew. ks. biskupa dr. Likowskiego, ks. szambelana Kłosa, ks. dr. Skrzydlewskiego i innych; z świeckiego stanu przedstawicieli rodów: Czartoryskich, Woronieckich, Drucko-Lubeckich, Załuskich, Mycielskich, Łąckich, Żółtowskich, Mańkowskich, Chłapowskich, Potworowskich, Sczanieckich, Jackowskich, Skarżyńskich, Stablewskich, Czarneckich, Turnów, Kościelskich, Szułdrzyńskich, Morawskich, Nieglewskich, Zaleskich, Puszetów, szambelana Cegielskiego z synami, mecenasa Ciechowicza i innych, których wyliczyć trudno, bo było tam osób około 200.

Po złożeniu powinszowania Jubilatom nastąpił obiad o 2 po południu.

Pierwszy toast na cześć Jubilatów, którym Ojciec św. przesłał swe błogosławieństwo, wzniósł Najprzewielebniejszy ks. biskup Likowski, któremu hr. Hektor Kwilecki podziękował za poniesione trudy, wznosząc zarazem jego zdrowie, w udatnem treściwem przemówieniu.

Następnie przeczytał ekscelencya hr. Załuski piękny wiersz, zastosowany do okoliczności. P. hr. Adam Żółtowski z Jargoniewic wynurzył pięknie w imieniu zięciów przybranym rodzicom wdzięczność za miłość, jakiej z ich strony doznają.



Marya hr. Kwilecka

W imieniu parafii i ludu gosławickiego sławił ks. Majewski z Grodźca troskliwość Jubilatów o lud wiejski, którym opiekują się z ojcowską pieczołowitością.

P. Mieczysław Niemojowski wystosował kilka słów serdecznych do dziadostwa w imieniu wnuków.

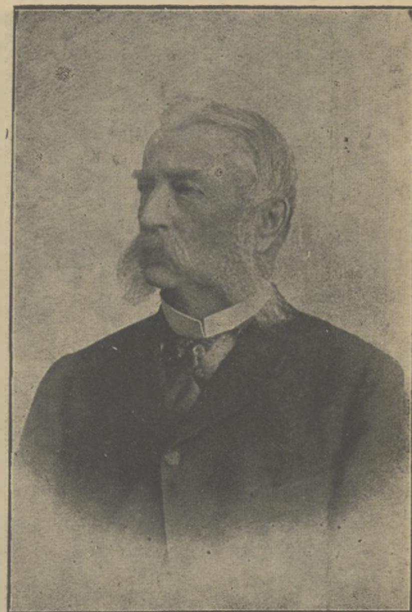


Stary kościół parafialny w Ostrowie.
(Patrz artykuł p. t.: „Uroczystość poświęcenia nowego kościoła parafialnego w Ostrowie“.)

Następnie wyraził ks. kanonik Jankowski z Konina Jubilatowi jako urodzonemu w Gosławicach i jego małżonce życzenia Królewiaków.

Duchowieństwo uczcił krótką przemową pan Wincenty Niemojowski ze Śliwnik, a na cześć tegoż p. Wincentego Niemojowskiego i jego małżonki, jako obchodzących za tydzień srebrne wesele, wygłosił piękną mowę p. Lucyan Osten-Sacken.

P. Stefan hr. Łącki pijąc na zdrowie wnuków Jubilatów, wyraził życzenie, aby szli śladem wielkich swych przodków, a zwłaszcza bohatera legionów.



Mieczysław hr. Kwilecki.

P. dr. Rosiński składał życzenia i powinszowania pp. Mieczysławostwu Kwileckim od mieszczaństwa i okolicy Wronek.

Widocznie wzruszony dziękował serdecznie mówcom sędziwy Jubilat.

Poczem książę Zdzisław Czartoryski wzniósł w dłuższej, świetnej, jak zwykle, przemowie, toast „Kochajmy się,“ który wysłuchano z wielką uwagą i z wielkim przyjęto aplauzem.

W końcu oświadczył p. hr. Kazimierz Kwilecki, że, chociaż książę Czartoryski odciął innych, którzy jeszcze przemawiać chcieli, od głosu, to jednak powstrzymać się nie może, aby nie wyrazić wszystkim gościom serdecznego podziękowania za przybycie na złote wesele Rodziców.

Na tem skończyła się uroczystość, która pozostanie długo w pamięci tych, co brali w niej udział.

Oby przezacni Jubilaci doczekali się w czerstwości ducha i ciała dyamentowego wesela!

* * *

Złote gody.

O, rzadkie święto! Gody półwiekowe!
Najczcigodniejszej Pary gody złote,
Z szacunkiem każdy nisko chyli głowę,
Bóg po raz wtóry złączy wiarę—cnotę.
W jarzącem świetle i w kwiatów powodzi
I w otoczeniu wnucząt swych i dzieci
W progi świątyni Zacna Para wchodzi,
A nad głowami blask słońca Im świeci.

Snać Sam Najwyższy w te złote Ich gody
W wiosnę zamienił poranek jesieni,
Że się uśmiechnął przepychem przyrody
I rozsłonecznił blaskami promieni.
Idą tak zwolna w poświacie słonecznej,
By przed ołtarzem kornie schylić głowy,
A z piersi ludu w modlitwie serdecznej
Prośba gorąca płynie temi słowy:
O Boże Ojcze, Synu, Święty Duchu,
Coś przed pół wiekiem łącząc młodą parę
Spłynął łask zdrojem, w długich dni łańcuchu,
Krzepił w Nich miłość, nadzieję i wiarę.
Boże, coś patrzył na zacne Ich życie,
Coś widział każde rzucone ziarenko,
Co teraz wschodzi żyznie i obficie;
Dziś Przenajświętszą błogosław Im ręką;
Na dalsze życie błogosław Im Panie,
Błogosław, prosim, z najwyższego nieba,
O, niechaj ujrzą lepszych dni zaranie
I niech nas wiodą, bo nam wzoru trzeba!
O, na dni długie złącz Im silnie dłonie,
Mimo lat późnych niech idą wytrwale
Tam, kędy zorza nadziei nam płonie
I skąd dni lepszych przypłyną nam fale!

Paula Wężyk.

Poznań, d. 2 października 1907.



Złote listki.

Rzadko się niepoczciwość tak jak zacznie kończy.

Ignacy Krasicki.

* * *

Chcesz poznać Boga? nie idź do księgi
Szukać tam Jego istoty,
Patrz na te wielkie świata okręgi,
Osądź o Mistrzu z roboty.

Kajetan Węgierski.

* * *

Dla nas ludzie myślą — ale nie za nas.

Kazimierz Brodziński.

* * *

Krzywe drogi często są różami słane, ale wiodą do przepaści, w których giną narody.

J. I. Kraszewski.

Z więzienia i do więzienia

Proboszcz bniński i redaktor „Przeglądu kościelnego,“ ks. Stanisław Okoniewski, opuścił dnia 30-go z. m. ku wielkiej radości parafian więzienie centralne we Wronkach, w którem odsiadywał kaźń sześciotygodniową za rzekome omawianie spraw państwa z ambony w sposób zagrażający spokojowi publicznemu oraz za rzekome nawoływanie do nieposłuszeństwa przeciwko rozporządzeniu władzy szkolnej (§§ 110 i 130a kodeksu karnego).



Ks. proboszcz St. Okoniewski z Bnina.

Ks. O., chcąc uniknąć przyjęcia uroczystego, nie doniósł wcale swemu zastępcy o dniu przybycia do Bnina i powrócił do swej parafii dopiero na drugi dzień wieczorem. Mimo to wdzięczni parafianie, chcąc uczcić swego ukochanego duszpasterza, który stanął w obronie wiary ich dziatek, stawili się licznie przed probostwo, a gdy ujrzeli powóz wiozący eks-więźnia-kapłana zarzusili go bukietami i kwiatami wśród gromkich i serdecznych okrzyków: „Niech żyje!“ Wieczorem iluminowano miasto.



Ks. wikaryusz Stanisław Budaszewski z Bnina.

Po krótkiej radości znowu zawitał smutek w parafii, gdyż zaraz na drugi dzień po powrocie księdza proboszcza Okoniewskiego zamknięto w celi więziennej na cztery tygodnie ks. wikaryusza Stanisława Budaszewskiego.

Ks. Budaszewski w porozumieniu z księdzem proboszczem Okoniewskim powiedział dnia 12-go sierpnia r. z. z ambony, że podług zasad Kościoła katolickiego nauka religii powinna być udzielaną tylko w języku ojczystym i że dlatego dzieci nie są zobowiązane przyjmować katechizmów i książek biblijnych w języku niemieckim, które im nauczyciele rozdawają.

Słowa te wypowiedział ks. B. nie w kazaniu, lecz po takowem podczas zwykłych ogłoszeń kościelnych. Za to spotkała go surowa kara 4-ech tygodni więzienia.



Z albumu pozgonnego zasłużonych mężów.

Stanisław Staszyc.

W języku naszym posiadamy piękne i malownicze wyrażenie dla oznaczenia ludzi, którzy potęgą umysłu i zacnością charakteru wygórowali nad współczesnych i na tle swojej epoki blaskiem szlachetnych zasług jaśnieją. Nazywamy ich ludźmi „wytycznymi.“ Oni to wskazują narodowi właściwy kierunek jego rozwoju, a widząc lepiej i dalej, wytykają mu drogi przyszłości.

Stanisław Staszyc jest bez zaprzeczenia jednym z takich mężów „wytycznych.“

Staszyc należy rzeczywiście do małej liczby tych mężów wybranych, którzy nie dla samego tylko pojedyńczego narodu, ale dla całej ludzkości pracują. Zastanawiając się nad życiem jego i nad jego pismami, trudno zawyrokować, co głównie mu tak wielką część i sławę współczesnych zjednało: czy jego pisma, tyle głębokich myśli i wzniosłych uczuć zawierające; czy też samo życie jego, na żelaznej pracy i ciągłem, poświęceniu dla dobra kraju strawione i pełne tych aktów wysokiej cnoty, które są najchlubniejszym natury ludzkiej zaszczytem i najwymowniejszą dla potomnych, do zacnych czynów podnietą.

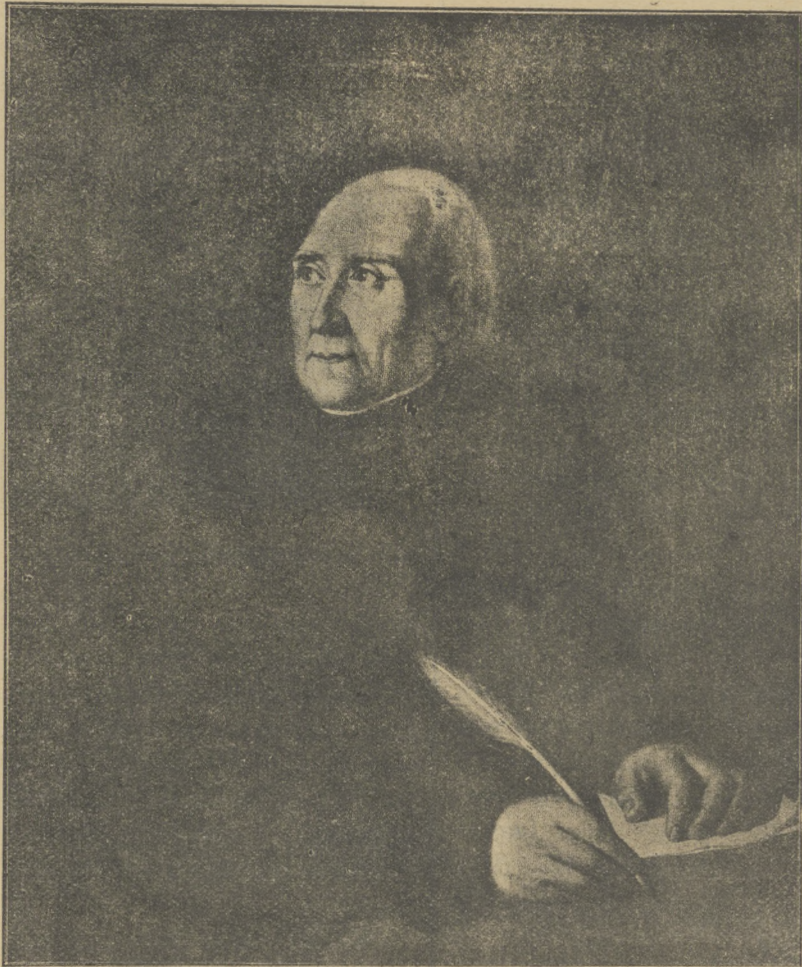
Jako pisarz, jako człowiek, Staszyc ogromne dla kraju położył zasługi; lecz gdy jako pisarz jest chlubą tylko kra-

ju, jako człowiek — jest chlubą ludzkości całej.

Stanisław Staszyc urodził się w listopadzie r. 1755 w Wielkopolsce, w miasteczku, gdzie ojciec i dziad jego pełnili przez długie lata obowiązki burmistrza i cieszyli się ogólnem poważaniem. Ze względu na słabe zdrowie Stanisława, rodzice, a szczególnie matka, chcieli go widzieć w stanie kapłańskim, ku któremu jednak młody Staszyc wielkiego powołania nie czuł. Rodzice łożyli dużo na wychowanie syna; to też, mając lat zaledwo 16, skończył on szkoły krajowe i zamierzał pojechać za granicę. Śmierć obojga rodziców na krótki czas opóźniła wyjazd, lecz nie zdołała ostudzić gorącego zapału do nauk młodego adepta teologii. Otrzymawszy niewielki spadek po rodzicach, wyjechał do Lipska i do Getyngi, a później do Paryża, gdzie przebył dwa lata i bardzo dużo skorzystał ze znajomości z ówczesnymi przodownikami myśli ludzkiej. Zwiedziwszy nakoniec Alpy, Apeniny i Włochy, powrócił do kraju, pełen jak najlepszych nadziei, gotów służyć swej ojczyźnie. Niestety, najlepsze jego chęci rozbiły się o twardy mur średniowiecznego przesądu o „źle urodzonych'' i w taki sposób w sercu i umyśle Staszyca zagnieździły się rozczarowania i pesymizm, które zwróciły go ku sprawom ekonomicznym, politycznym i historycznym. Szczęśliwie się zdarzyło, iż wówczas to jest w roku 1773 poznał eks-kanclerza, Andrzeja Zamoyskiego, który ofiarował mu w swym domu miejsce guwernera do dwóch synów, Aleksandra i Stanisława. Mając już niejako zapewniony kawałek chleba, Staszyc tem swobodniej mógł się zająć nauką. Wnet po przyjęciu święceń kapłańskich uzyskał prebendę w Turobinie, ale widząc, że zajęcia pedagogiczne i literackie zupełnie go pochłaniają, zrzekł się tej prebendy i oddał się zajęciom świeckim.

Z początku sejmu czteroletniego był z Zamoyskim w Warszawie, potem zaś osiadł w Zamościu. W roku 1792 umarł Andrzej Zamoyski, po jego śmierci zaszły nieporozumienia w rodzinie Zamoyskich i Staszyc wraz z panią Zamoyską udał się do Wiednia. Tu, dzięki szczęśliwym spekulacyom, dorobił się pokaźnego majątku, który oddawał pani Zamoyskiej. To po jej śmierci podało powód do głośnego procesu między Staszycem a zarządem ordynacyi, która się wzbraniała wydać mu żądaną sumę i dopiero za wpływem księcia Czartoryskiego, generała ziem podolskich, słusznemu żądaniu Staszyca uczyniła zadosyć. Za te pieniądze kupił Staszyc w Galicyi zachodniej starostwo Hrubieszowskie, w ziemi Bełzkiej. Tu osiadł i rozwinął na szeroką skalę działalność obywatelską. W tym czasie został on kanclerzem kollegiaty szamotulskiej a wkrótce potem pośpieszył do Warszawy i został bardzo czynnym członkiem dopiero co zawiązanego Towarzystwa przyjaciół nauk. W roku 1897 król saski powołał Staszyca na referendarza stanu Księstwa Warszawskiego; w następnym roku wybrany był na prezesa Towarzystwa przyjaciół nauk po zmarłym ks. biskupie Albertrandim. Chociaż Staszycowi czynności prezesa dużo zajmowały czasu, nie usuwał się on jednak od urzędów, na których mógł przynosić i rzeczywiście przynosił ogromne korzyści dla kraju. Był więc on i członkiem Rady Stanu. Po roku 1815, to jest z utworzeniem Królestwa Polskiego, Staszyc został dyrektorem generalnym Wydziału przemysłu, rzemiosł i kunsztów w ministeryum spraw wewnętrznych, dyrektorem komisyi wychowania publicznego i na koniec prezesem komisyi egzaminacyjnej. W roku 1824 Staszyc usunął się z ministeryum spraw wewnętrznych, nagrodzony przez cesarza Aleksandra orderem Orła Białego i stopniem ministra stanu, z prawem zasiadania w Radzie Administracyjnej aż do samej śmierci, która nastąpiła w dniu 20-ym stycznia 1826 roku.

Uroczysty, tłumny, wspaniały pogrzeb Staszyca zdawał się poniekąd być zadatkiem na przyszłość tego, że zasługi, patryotyzmu wielkiego męża stanu długo, długo pozostaną w sercach potomności. Dlaczego jednak tak nie było, dlaczego już ostatnie dwa lata życia tego człowieka zamroczone zostały ogólną prawie niechęcią ku niemu, przekonamy się poniżej, zbadawszy dokładnie charakter jego i przekonania.



Stanisław Staszyc.

* * *

Staszyc był wzrostu niezbyt słusznego, twarzy wyrazistej, muskularnej, na której ciągle ruchliwa gra fizyognomii odzwierciadlała każdą myśl i uczucie. Wyraz fizyognomii był łagodny, lecz ponury, rzadko kiedy okraszony uprzejmym uśmiechem; do pochmurnego wejrzenia przyczyniały się wiele brwi duże, łączące się prawie w równej linii, zwisłe nad oczami — czoło wysokie, łysawe. Dodajmy do tego rysopisu zaniedbany ubiór, a będziemy mieli postać Staszyca, pod względem zewnętrznym wcale nie ponętną i nie pociągającą. Lecz jakie szlachetne, pełne miłości bliźniego serce biło pod czarnym, wyszarzanym frakiem! Miłość

bliźniego dochodziła w Staszycu do fanatyzmu; raz postanowiwszy całe swoje mienie poświęcać ludziom biedniejszym od siebie, Staszyc doprowadzał oszczędność w swoich wydatkach do skąpstwa, wyrzekł się nietylko wygód, przynależnych mężowi z takiem stanowiskiem, ale prawie i koniecznych potrzeb. Z oszczędzonych pieniędzy robił on jaknajlepszy użytek; łożył na Towarzystwo przyjaciół nauk, kupował dla niego biblioteki, narzędzia, nareszcie swoim kosztem postawił dla Towarzystwa wspaniały gmach, a przed nim pomnik Kopernika, wspierał uczącą się młodzież, zawsze unikając rozgłosu i podziękowań. Bolejąc nad położeniem chłopców i pragnąc innych obywateli zachęcić do polepszenia losu włościan, z całych swych dóbr Hrubieszowskich uczynił zapis na rzecz poddanych, zorganizował ich w Towarzystwo rolnicze wzajemnej pomocy.

Staszyc dał przykład, jak swój kraj kochać, jak obywatelskie obowiązki spełniać należy, dał przykład, jak przez miłość dla kraju zadane przezeń krzywdy wybaczać a interes jednostki dla interesu ogółu poświęcać trzeba; jak należy godzić osobiste przekonanie z wolą ogółu i jak tę zbiorową wolę szanować.

Znalazłszy instytucye krajowe nietylko zasadom swoim przeciwne, ale go nawet całkiem z praw politycznych wydziedziczające, nie uczuł się przez to zwolnionym z patryotycznych obowiązków swoich, a przekonany, że tylko nowe i z duchem czasu zgodne społeczne i polityczne pojęcia, mogą ocalić Polskę, starał się tym pojęciem zapewnić tryumf w taki jedynie sposób, któryby w żadnym razie interesom narodu zaszkodzić nie mógł. Dobro narodu a nie dobro osobiste było zawsze jego pierwszym i najwyższym celem.

Badając dzieje ojczyste a główny do tego czerpiąc materyał z archiwum Zamoyskich, Staszyc uderzony został wielką postacią Jana Zamoyskiego, postanowił więc tę wielką dziejową postać podnieść z zapomnienia, pokazać narodowi w całym jej blasku, postawić jako wzór cnoty i miłości publicznego dobra, aby tem naród ożywić i do szczytnego naśladownictwa zachęcić. Myśl ta zrodziła „pochwałę‘‘ Jana Zamoyskiego i „Uwagi nad życiem jego‘‘ — dzieło, stanowiące fundamentalny kamień politycznych zasług Staszyca.

Nieznany narodowi, bez blasku urodzenia i darów fortuny, bez możnych stosunków i koligacyi, tą bezimienną w świat puszczoną książką, zatrząsł narodem całym. Dwie przyczyny złożyły się na wydanie tak wielkiego rezultatu: z jednej strony siła prawdy, przemawiająca przez usta Staszyca; z drugiej zaś — usposobienie narodu, który obudziwszy się z długiego letargu, najostrzejszych już prawd wysłuchać był gotów.

Sumienie narodu ocknęło się. Staszyc tę właśnie chwilę pochwycił i do sumienia tego przemówił.

Dzieło Staszyca, kilkoma laty wcześniej wydane, zostałoby odtrącone z oburzeniem, spalone może przez kata lub szlacheckiemi rozsiekane szablami. W chwili, w której wyszło, znalazło uznanie, poruszyło umysły, wstrząsnęło sercem narodu.

Głos prawdy zagrzmiał tak potężnie, że go już wrzaski przesądów i ambicyi zagłuszyć nie były w stanie.

Oto co mówi o pismach Staszyca Kajetan Koźmian jego przyjaciel współczesny: „Radbym, aby młodzież tegoczesna, tak niedouczona w rzeczach ojczystych, wzięła pisma Staszyca do ręki; przynajmniej dowiedziałaby się o blisko dotykających ją sprawach, i nie myliłaby się w zdaniu, komu ma złorzeczyć, a kogo błogosławić.‘‘



Wiara, Nadzieja i Miłość.

Wiara — to gwiazda przewodnia,
Co świeci w mrokach żywota;
Ona wśród troski codziennej
W sercu jak jasność lśni złota.
I choćbyś codzień wypijał
Goryczy i żółci czarę, —
Nic cię nie złamie, nie zegnie,
Dopóki w piersiach masz — wiarę!

Nadzieja — to gwiazda druga,
Dziwnie promienna i wzniosła,
Życie, jak łódka jest krucha,
Ster — wiara, nadzieja — wiosła.
Przejdą cierpienia i smutki,
Jak mgły się w końcu rozwieją,
Jeśli masz prawdę za godło,
A naprzód idziesz — z nadzieją.

Zaś trzecią gwiazdą — to miłość,
Wierna dwóch pierwszych siostrzyca,
W niej czynów wielkich podnieta
I czystych uczuć skarbnica.
Więc piastuj miłość w swem łonie
I kochaj ludzi, jak braci,
O szczęście innych się staraj,
Bóg ci twem własnem odpłaci.

O! trzy największe to cnoty!
Nadzieja — miłość — i wiara!
Z niemi trud każdy rozkoszą
I lekką każda ofiara.
Bóg je zaszczepił w człowieku,
By mu dać szczęście na ziemi, —
Te trzy siostrzyce byt ludzki
Przeplotły nićmi złotemi!

O, żyjmy bracia pobożnie
W nadziei — wierze — miłości!
Niech każda z gwiazd tych świetlanych
Do końca świata nam gości!
Niech nikt się życia nie lęka,
I nie drży przed śmierci marą,
Bo błogo żyć i umierać
Z nadzieją — miłością — wiarą!

Or—ot.



Z wędrówki po Królestwie Polskiem.

Krasnystaw i jego okolice.

(Gub. Lubelska.)

Podjeżdżając do Krasnegostawu od strony Zamościa, przyznać musimy słuszność owej legendowej księżniczce, od której słów zachwytu Krasnystaw miał otrzymać swoją nazwę. Według innych, nazwę miastu dał Kazimierz Wielki, który upodobawszy sobie miejscowość pod wsią Szczekarzewem, kazał wykopać olbrzymi staw i następnie wybudował przy nim wielki zamek ochronny.

Tak czy inaczej było, — Krasnystaw w zupełności zasługuje na miano, które otrzymał.



Kościół św. Franciszka Ksawerego w Krasnymstawie.

Panorama miasta położonego na wyniosłem wzgórzu, przypomina nieco prześliczną panoramę Lublina od strany Bystrzycy, jakiej drugiej, w Królestwie Polskiem próżnobyś szukał. U stóp miasta rozpostarła się

głęboka dolina, na tle której, wśród obszernych łąk, wije się rzeka.

Krasnystaw otrzymawszy od Władysława Jagiełły w roku 1394 prawo magdeburskie, począł szybko rozwijać



Magistrat w Krasnymstawie.

się, jak to świadczą liczne lustracye, o których wiadomość ocalała. Niemało przyczynił się do dobrobytu miasta Zygmunt I., który w roku 1518 utworzył tu skład soli, a gdy Stefan Batory zabronił żydom osiedlać się w Krasnymstawie, dobrobyt mieszczan niepomiernie począł wzrastać, zwłaszcza, gdy w roku 1552 ustanowionemi zostały cechy rzemieślnicze. Największego swego rozkwitu Krasnystaw doczekał się w wieku XVI.

Wiek XVII. przyniósł wojny szwedzkie, zarazę morową i pożary. Wszystko to zrujnowało i wyludniło miasto. Zamek i mury miasta poszły w gruzy a ucisk starostów zubożył ludność.

Prócz domniemanego założyciela, Kazimierza Wielkiego, przebywał w



Szpital świętego Franciszka
w Krasnymstawie.

Krasnymstawie Władysław Jagiełło, a nawet mieszkał czas dłuższy, gdy złamawszy nogę w Puszczy Białowiejskiej na polowaniu, kazał się tu przewieźć. W zamku krasnostawskim cały rok przesiedział wzięty w niewolę w r. 1588 pod Byczyną na Śląsku przez Jana Zamoyskiego, Maksymilian arcyksiążę austryacki, starający się o wybranie go na króla polskiego, po oddaleniu się Henr. Walezyusza. Przyprowadzony ze wszelkiemi oznakami uszanowania do Krasnegostawu, przez samegoż Zamoyskiego osadzony był pod strażą Marka Sobieskiego. Tu go nieraz odwiedzał Jan Zamoyski i uczty mu wyprawiał, tu nakoniec, kiedy już miał być uwolnionym, poprzysiągłszy zrzeczenie się pretensyi swoich do korony polskiej, odwiedził go Zygmunt III., pocztem odprowadzony został z honorowemi oznakami aż do granicy, przez wyznaczonych na to Wawrzyńca Goślickiego i Zebrzydowskiego.

Krasnystaw obecnie posiada wielki i poważny kościół po-Jezuicki, fundacyi Feliksa Kazimierza Potockiego, kasztelana krakowskiego i żony jego Krystyny Lubomirskiej, córki hetmana polnego koronnego. Budowniczy Jan Huss usiłował naśladować styl kościoła św. Piotra w Rzymie. Ozdobne są ołtarze, ściany malowane al fresco, a sklepienia złocone i gipsaturą kryte.

Tu, po skasowaniu Jezuitów, istniała jakiś czas katedra biskupia, przeniesiona później do Lublina.

Krasnystaw należy do miast schludnych. Posiada bruki, sporą liczbę domów murowanych i ładne skwery w środku miasta.

Liczy według ostatniego spisu 7930 mieszkańców, posiada oprócz zwykłych władz powiatowych, szpital pod wezwaniem św. Franciszka, dom schronienia, 5 szkół początkowych i straż ogniową ochotniczą.

Konrad Załeski.

(Dokończenie nastąpi).



Widok ogólny Krasnegostawu od strony Zamościa.

Sprawy ekonomiczne.

Rolnictwo u nas a za Oceanem.

Tak przywykliśmy do skarg i narzekań rolników na trudne warunki pracy, na ciężkie czasy, na warsztat pod gołem niebem, że słuchamy ich już z pewnym pobłażliwym uśmiechem, zapominając, że warunki, w których pracują, są rzeczywiście ciężkie, kto wie, czy nie co rok cięższe i to nietylko u nas, ale w całej Europie. Dość w tym celu porównać stosunek podwyższenia się ceny ziemi i eksploatacyi z podniesieniem się ceny produktów rolnych, żeby przyjść do wniosku, że gdyby nie ciągłe nakłady, dążące do powiększenia produkcyi, ziemia byłaby dawno porzucona, nie mogąc walczyć z produkcyą ziemi dziewiczych krajów. Rolnik nasz, który uchodzi za rutynistę i ma się za takiego, biegnie wciąż z postępem i goni za wynalazkami, jak żaden przemysłowiec, tylko w kalkulacyach swoich trafia na daleko więcej przeszkód, których przewidzieć nie był w stanie.

Ten stan rzeczy trwa równie dawno, jak dawno trwa nasza cywilizacya. Rolnicza przeszłość naszych ziem jest ciągłą zmianą jej kultury, spowodowaną przez konkurencyę i tysiączne wpływy polityczne, ekonomiczne i fiskalne. Rolnik europejski skazany jest na nieustanny poród w bolach, party przez nieubłaganą konieczność i przez nowe wynalazki i w przekonaniu, że majątek doprowadził do ostatniego stanu kultury, że robi już ostatni konieczny nakład, ani się spostrzega, jak życie zmusza go do coraz nowych.

Rolnik amerykański, który urodził

się wczoraj, przechodzić będzie z czasem to samo, tylko ten jest więcej giętki, działa pospiesznie, warsztat, na którym pracę rozpoczął, nie kosztuje go prawie nic i metodę w rolnictwie zastosował inną.

Historycznie Europejczyk przeszedł od rolnictwa do przemysłu, Amerykanin przeciwnie — od przemysłu do rolnictwa, wskutek czego warsztat rolny traktuje jak fabrykę, albo dom handlowy. Objąwszy w posiadanie dziewiczą ziemię, którą tu porównoć możemy z ziemią w Europie w jakimś XIII. lub XIV. wieku, zastosowuje do jej uprawy wszystkie ostatnie wynalazki XX. wieku i zastosowuje je prawie na pewno, znalazł bowiem opiekuna, który go kształci, popiera i zachęca, a tym jest jego rząd.

Rząd Stanów Zjednoczonych przychodzi rolnikom swoim z realną pomocą, osobliwie od chwili, kiedy na czele departamentu rolnictwa, t. j. od lat 15, stanął zawodowy rolnik, mąż niezmordowanej pracy i talentu — James Wilson. Jest to mistrz, którego Ameryce zazdrościć może każde cywilizowane państwo. Rozpoczął on działalność swoją od założenia w 4 stanach Ameryki dwustu stacyi doświadczalnych i wzorowych, rozrzuconych w ten sposób, żeby mogły popierać rolnictwo w najrozmaitszych warunkach etnograficznych i klimatycznych, w jakich się poszczególne stany znajdują. Rząd swój zrobił pośrednikiem, który dobiera dla rolników odpowiednie ziarno, dostarcza je, zachęca i kształci urządzając odczyty i wydając naukowe broszury, których w roku 1906 rozesłał darmo 12 milionów egzemplarzy.

Cała ta praca rządu nie ma w sobie nic biurokratycznego. Konkursów i wystaw rząd nie urządza, medali ani nagród nie rozdaje, ograniczając pracę swoją tylko do tych czynności, których pojedyńczy człowiek podjąć się nie może. Pieniędzy także nie rozdaje, ale wskazuje sposoby i dostarcza środków, żeby je zarobić; nie jest więc dobroczyńcą, ale doradcą, uczciwym pośrednikiem, który proponuje interesy.

W tym celu Wilson zorganizował biuro agentów podróżnych, którzy w liczbie 12 przebiegają świat cały wzdłuż i wszerz, wynajdują i dostarczają nasiona, które mogłyby być odpowiednio rozpowszechniane w różnych stanach Ameryki. Agenci Wilsona zwiedzili wszystkie kraje: Azyę i Afrykę, Rosyę, Syberyę, Szwecyę i Norwegię, Chiny i Japonię, nawet Indye Holenderskie i Amerykę Południową, oddając większe usługi ojczyźnie, niż niejeden ambasador i dyplomata.

Praca ta prowadzona od lat 10, dała już świetne rezultaty: Nasienie pszenicy, sprowadzone w r. 1899 z południa Rosyi, dało w r. 1901 — 60.000 hektolitrów ziarna, którego w r 1906 wysłano do Europy 6 milionów hektolitrów, osiągając blizko 2 mk. za hektolitr więcej, niż za zwykłą amerykańską pszenicę. Szwecya dostarczyła temu lat pięć nasienia trawy, która się doskonale przyjęła w północnych stanach; do południowo-zachodnich wprowadzono nasienia trawy kaukaskiej, nazwanej „sianem 60 dni,“ bo dochodzi



Ulica Lubelska w Krasnymstawie.
(Patrz art.: „Z wędrówki po Królestwie Polskiem“).

wcześnie i jest gotowa do zbioru, zanim nadejdzie epoka rdzy i owadów, które tam spustoszenia wyrządzają. Kultura japońskiego ryżu wprowadzoną została do Texas i Luizyany i produkcya w ciągu 6 lat podniosła się z 90 do 435 milionów kilo. Specyalny agent bawił cały zeszły rok w Argentynie, gdzie studyował handel mąką, a od 4 lat inny, studyuje w Londynie europejski handel masłem.

W dalszym ciągu Wilson rozwinął opiekę rządu nad lasami i w ciągu siedmiu lat więcej w tym przedmiocie zrobił, niż było zrobione od czasu Kolumba.

Dość powiedzieć, że wydział leśny w departamencie rolnictwa składał się w roku 1898 z 12 osób i że ten sam wydział miał w 1906 r. 821 urzędników, między którymi było 153 zawodowych leśników i że biuro odpowiedziało na 65.000 prywatnych listów. Tu także rząd postąpił konsekwentnie, nie wydając żadnych praw ani przepisów, dopilnowanie wykonania których byłoby trudne albo niemożebne...

Praktyczni Amerykanie prędko dostrzegli, że przy rabunkowem gospodarstwie zabraknie wkrótce nietylko budowlanego materyału, ale nawet podkładów dla dróg żelaznych. Majętniejsi rolnicy mają już gospodarstwa leśne i własnym kosztem urządzają w kraju odczyty o kulturze leśnej i handlu drzewem. Rząd stał się pośrednikiem a w części i nabywcą znacznej ilości drzewnego materyału, dostarczanego na rynek, uczy prawidłowej eksploatacyi, obznajmia z potrzebami rynku, dostarcza sposobności sztucznego suszenia drzewa i robienia go odpornem na czas i wilgoć. Rabunek lasu w Ameryce przechodzi do historyi.

Amerykanin rolnik ma taką wyższość nad Europejczykiem, jaką mają świeżo urządzone warsztaty mechaniczne nad staremi. Żadnych starych maszyn, żadnych nie procentujących się nakładów, żadnych nieużytecznych remanentów do amortyzacyi.



Dział kobiecy.

Wszystko w waszych rękach, matki!

Wielkie to szczęście, że dzieciątko rodzi się na świat maleńkie i nic nie rozumiejące, bo matka i ojciec, nieraz młodzi, nie doświadczeni, mają czas nabrać rozumu, zastanowić się wreszcie nad tem, jak wielkie są ich obowiązki rodzicielskie.

Korzystaj, matko i ojcze, z tego krótkiego czasu, póki syn twój lub córka są tak małe, że jeszcze na waszych postępkach poznać się nie umieją i pracuj nad sobą, abyś był godzien wychować Bogu człowieka. Wielka to jest rzecz, wielka i święta, teraz to nowoochrzczone dzieciątko leży przed wami niewinne jak aniołek, od was rodziców zależy, jakiem uczynić go, dobrem czy złem.

Wszystko w waszych rękach, matki, cała przyszłość tego niemowlęcia stoi na przykładzie jaki mu dacie, pamiętajcie o tem, nie spuśćcie ani na chwilę z myśli tej prawdy, że szczęście waszego dziecka od waszego z niem postępowania zależy. Jestem pewna, że każda z was siostry moje chciałaby widzieć synów czy córki szanowanemi tu na ziemi, a potem królować z niemi w niebie, otóż teraz, kiedy dziecko zaledwie żyć zaczyna, trzeba się nad tem zastanowić jak na to królowanie swoje i potomstwa zasłużyć, potem za kilka lat już będzie za późno, a przynaj-

mniej będzie bardzo już trudno czas stracony nagrodzić.

„Niedaleko pada jabłko od jabłoni“ — mówią ludzie, to znaczy, że rzadko kiedy odrodzi się dziecko od rodziców, najczęściej takiem będzie, jakiemi są oni. Łatwo z tego jednego powiedzenia cały tekst wychowania zrozumieć: trzeba samej być pobożną, łagodną, miłosierną, czystą, pracowitą, uczciwą, to i dziecko nasze będzie po Bożemu wychowane, nie ofuknie rodziców złem słowem, pomoże bliźniemu w potrzebie, ochędóstwo około siebie i w całem gospodarstwie domowem zachowa, rąk próżno nie założy ani ich po cudze dobro nie wyciągnie, — bo skądże miałoby krzywdy ludzkiej pożądać, skoro u rodziców uczciwe widziało postępowanie. Niech więc każda z was, siostry moje kochane, dobrze się z sumieniem obliczy, kiedy jej Bóg dał to szczęście, że została matką i niech w tej wielkiej chwili odrodzenia się w dziecku pozna jakie popełnia winy, albo jakich jej nie dostaje przymiotów, aby przez ten czas póki dzieciątko maleńkie poprawić się ze złego a umocnić w dobrem.

Ile razy, matko, weźmie cię pokusa gniewu, pomyśl, że dziecko twoje może za twoim przykładem zostać złośnikiem, albo broń Boże zabijaką i wstrzymaj ostre słowa na ustach, ile razy polenisz się uprzątnąć czysto izbę, albo pomyć jak należy statki, pomyśl, że kiedyś córka twoja, nauczona u ciebie nieporządku, będzie w brudzie utrzymywać swoje mieszkanie i zbrzydnie przez to mężowi. O któraż matka na takie wspomnienie nie porwie za miotłę, żeby ład w stancyi zrobić. Prawda, siostry, że każda z was do czysta wtedy statki pomyje, bo nużby dziewczyna miała być przez matkę nieszczęśliwą w małżeństwie? Niechże Bóg broni! strach takie słowo wymówić.

Polka.



Najnowsze mody.

Jesienne i zimowe stroje męskie.

Na jesień i zimę moda z reguły nie wprowadza w strojach męskich tak znacznych zmian, jak to bywa przed sezonem wiosennym i letnim. Atoli w tym roku specyalnie świat elegancki musi uwzględnić liczne innowacye.

Niezbędną część toalety stanowi obecnie zarzutka; modnymi jej kolorami są: czarny i ciemnopopielaty; na promenady zarzutka z „riding-troceds“ w paseczki. Modnemi stają się znów gładkie „vicunas“ w rozmaitych odcieniach szczególniej w zielonym. Zarzutka powinna być w ramionach i na plecach ściśle przylegająca, w stanie wycięta; przyczem jednak krawiec powinien uważać na figurę klienta i doradzać fason silnie wycięty tylko osobom słusznym i smukłym. Natomiast bez względu na figurę każda zarzutka musi być w dolnej części bardzo wolną. Najwyższy guzik ma być niżej, niż dotychczas umieszczony, a rękawy zaopatrzone w 6 cm. zakładkę (wyłożkę). Długość modnej zarzutki wymaga, by kolana były zasłonięte.

Tzw. „ulster“ odpowiednim jest na czas słotny; do podróży i jazdy motorowej nosi się płaszcze szewiotowe, albo „homespuns“ w wielkie kraty, lub szerokie pasy w znacznych odstępach. Na rękawach zakładki, zapinane na guzik, albo rzemyki, służące do obciskania ręki w przegubie.

Palto zimowe podobne jest kształtem do zarzutki jesiennej. Będą też noszone paltoty „sacco“ z lekkiem wcięciem w stanie. Moda wymaga, aby u paltota każdego fasonu były kieszenie poziome, z klapami. Kieszenie, skośne wyszły z mody. Brzegi mają być stebnowane w dwa rzędy. Paltoty będą wyrabiane z materyi „castor,“ „melton“ i z materyi wełnianych, barankowych; barwy modne: czarna, granatowa, popielata w różnych odcieniach i kombinacyach z bronzową i zieloną. Na okrycia futer szewiot, lub „melton-castor“ barwy czarnej, popielatej, granatowej, fason „sacco,“ rękawy z zakładkami sukiennemi. Futra będą zapinane na guziki pasamentowe lub pętlice. Kołnierze z bobrów rosyjskich sealskinów; nowość stanowią kołnierze z baranów perskich o wielkich kędziorach, ułożone w kształcie szalu. Podszycie ze skór sobolowych o bladym połysku, i t. zw. „nutria.“

Fason fraków pozostanie niezmieniony i tylko poły mają być dłuższe niż dotychczas i zaokrąglone. Smoking ma przylegać do stanu i mieć z tyłu długi rozpór; kołnierz jedwabny w kształcie szalu. Kieszenie boczne są rzeczą gustu. Kamizelki do fraków i smokingów wąsko i podłużnie wycięte.

Ostatnim wyrazem mody będą kamizelki z białej piki lub jedwabiu. Kamizelki do anglezów i żakietów będą nieco wyżej zapinane, niż surdut i będą zaopatrzone w wypustki pikowe, białe lub kolorowe. Nowe materye: sukienko matowe w delikatne prążki; do surdutów salonowych kamizelki szkockie i „vicunas.“ Do marynarki „sacco“ kamizelka nieco wystająca, z materyi kolorowych. Do „redingotes“ i czarnych żakietów bardzo odpowiednie są kamizelki aksamitne.

„Redingote“ zachowuje dotychczasowe formy; tylko ten surdut ma być głębiej wycięty i na dwa guziki zapinany. Także i żakiet ma mieć głębokie klapy i być o 5 cm. dłuższym od dotychczasowego. Marynarka będzie jak dotychczas silnie wcięta w stanie, przylegająca, zapinana na 3 guziki; gdy klapy są głęboko wykładane, może być tylko jeden guzik. Rękawy z wyłożkami, nowością są wyłożki z przodu szerokie na 5 cm., z tyłu na 6 cm. i zaopatrzone w 3 guziki. Do nowości należy też mała zakładka u spodu rękawa w kształcie podłużnego trójkąta, przypiętego u wierzchołka guzikiem.

Garnitury marynarkowe wyrabia się z materyi w prążki odmiennej barwy, na tle barwy granatowej, oliwkowej lub popielatej; prążki zielone lub jasno-czerwone i niebieskie. Długie, w stanie wycięte marynarki czarne odpowiednie są do noszenia i na zebraniach towarzyskich.

Pantalony w sezonie 1907/8 nie zmieniają fasonu. Modny kolor: popielaty w odcieniach. Najmodniejszą materyą jest popielata w białe delikatne paseczki. Do ciemnej marynarki odpowiednie są pantalony popielate w prążki, o odcieniach tej samej barwy.

Do jazdy konnej surdut lub żakiet z zielonego „melton,“ a do tego albo „breeches“ lub pantalony z materyi jasnozielonej w kratki. Na łowy bluza „a la Norfolk“ z „homespuns“ i szewiotu w duże kraty.

The Tailor.



Przestrogi i rady.

Zapobieganie porażeniom słonecznym.

Prof. *Duncan* z Londynu na mocy własnego doświadczenia podczas pobytu w krajach podzwrotnikowych przyszedł do przekonania, że mylnem jest przypuszczenie, jakoby podniesiona ciepłota, a w szczególności bezpośrednie działania promieni cieplikowych, mogły wywołać porażenie. Przebywanie w bardzo gorącem powietrzu, ogrzanem ze źródła ciepłoty ciemnej, nigdy nie wywołuje porażenia. Ciężkie objawy porażenia wywołane są, według autora, jedynie przez działanie

MICHAŁ BAŁUCKI.

Ostatnia stawka.

(5) (Ciąg dalszy).

— I to panie tego wszystkiego dowiedziały się w tak krótkim czasie?

— Czekaj pan, to jeszcze nie wszystko. Dowiedziałyśmy się, że pojutrze bal z loteryą fantową na jakiś cel dobroczynny. Księżna Mirade będzie siedziała przy losach.

— Cóż to za księżna Mirade?

— Jakto? pan nie słyszałeś jeszcze o niej? Cały Iwonicz tylko o niej mówi, nią się zajmuje. Jest to niezwyczajne zjawisko w naszych kąpielach. Rodem francuzka, spokrewniona podobno z jakimś panującym dworem. Przybyła tu z Włoch w towarzystwie jakiegoś bardzo dystyngowanego człowieka. Dlaczego tu przyjechali — to tajemnica, nad którą wszyscy łamią sobie głowy. Jedni mówią, że uciekła od męża, zakochawszy się w tym, z którym przyjechała. Ma to być podobno Polak. Inni mówią, że chce tu w Galicyi kupić dobra i osiąść. Są tacy, którzy utrzymują, że to jest jakaś misya polityczna na rzecz Don Carlosa, co jest, według mnie, najprawdopodobniejszem, bo księżnej postępowanie jest nadzwyczaj zagadkowe, dziwne, ztąd ją nazwano Mirade; rzadko bardzo pokazuje się na promenadzie, jest małomówną, pozwala sobie przedstawiać tylko najarystokratyczniejszą i najbogatszą młodzież, która u niej cały czas przepędza, nieraz późno w noc. Gdyśmy przyjechały nad ranem, świeciło się jeszcze u niej w oknach. Bo mieszka w pańskim domu, ot tam, w tych czterech oknach — mówiła ciocia, prowadząc Maurycego za rękę ku oknu i pokazując mu okna zasłonięte roletami, przez które przebijało rzęsiste oświetlenie. — Tak bywa co noc prawie — mówiła dalej pani Solska — i nikt nie może się dowiedzieć, jaki jest właściwie powód tych nocnych konferencyi. Próbowano przekupić garderobianą księżnej i lokaja, którzy są rodowitymi Włochami; ale od nich nie można wydobyć prawdy, milczą zawzięcie. Zrobił-byś pan wielką przysługę towarzystwu i okrył-byś się sławą, gdyby ci się udało wywiedzieć coś bliższego o tej tajemniczej parze. Znasz pan język włoski, znasz Włochów, bo mieszkałeś długi czas we Włoszech, a że panu nie brak sprytu do wyszukania tego, co zechcesz, to miałam najlepszy dowód z owa broszką zgubioną. To było arcydzieło w swoim rodzaju, wyszukanie tej broszki. Tego panu nigdy nie zapomnę. Opowiadałam ten wypadek mojej przyjaciółce, pani Narbuttowej; nadziwić się nie mogła. Pewną jestem, że panu i teraz to się uda.

Spokój i swoboda, z jakiemi pani Solska wspomniała o tej przygodzie, zdziwiły i zastanowiły Maurycego; musiał z tego wnosić, że nie znała doniosłości krzywdy, jaką mu była wyrządziła i nie czuła się wcale winną. Winne były zasady, które w nią wpojono; wychowanie zrobiło ją taką jaką była, a nie wyrafinowana przewrotność. To przypuszczenie musiało w następstwie złagodzić jego sąd o innych kobietach, które znał i potępiał za ich postępowanie. Z zadumania tego zbudziło go zapytanie Julii:

— Czy pan tańczy? — spytała.

— Bywało, żem tańczył. To już tak dawno, że mogłem zapomnieć o tem.

— A to dlaczego?

— Każdy wiek ma swoje prawa.

— Wiek pański nie uwalnia pana od tak poważnych tańców, jak naprzykład kadryl, i aby pana zmusić do tego, angażuję pana do pierwszego kadryla na pojutrzejszym balu.

— Nie wiem, czy będę na balu.

— Jakto? Pan-byś pozwolił, abyśmy weszły same? A to ślicznie wywiązujesz się pan z przyjętej opieki.

— Inna rzecz wejść z paniami, inna rzecz tańczyć.

— Pan chcesz mi odmówić? A to grzecznie!

— Będą tacy, co mnie wyręczą.

— A jak nie będą, to będę siedzieć, jak figura malowana na tapecie. Zresztą, możesz pan przecież przypuścić, że wolę tak konserwacyjny taniec, jak kadryl, tańczyć z panem, ze znajomym, niż z pierwszym lepszym obcym zmuszać się do jałowej rozmowy.

— Jeżeli to pani sprawi cokolwiek przyjemności, gotów jestem chętnie zrobić to ustępstwo dla pani, choć uprzedzam, że będziesz pani miała ze mnie złego i niezręcznego tancerza.

— Wszak tu nie idzie o popis, ale o zabawę, a jestem pewna, że pan nie pozwoli mi nudzić się z sobą.

Słowa te połaskotały miłość własną Maurycego i naprawiły mu humor. Rozgadał się i rozbawił tak przyjemnie w towarzystwie pań, że gdy przypadkiem spojrzał na zegarek i zobaczył, że już po pierwszej, zdziwił się niesłychanie, że czas tak prędko ubiegł.

Gdy wrócił do siebie, znowu refleksya wzięła górę nad rozmarzeniem, w jakie go wprawiało towarzystwo Julii, i znowu niekontent był z siebie, że, pomimo postanowień i wbrew zasadom swoim, brnie coraz dalej, wstydziła go rola *cavaliere servente*, jaką grać musiał przy tych paniach, rola, od której odwykł i której niewłaściwość czuł dobrze. Cóż dopiero, gdy się mu wyobraziło, jak będzie tańczył! wydawał się sam sobie śmiesznym. Wypadki pchały go mimowoli w coraz trudniejsze sytuacye, z których nie widział sposobu wyjścia.

— Do czego to wszystko mnie zaprowadzi? — spytał siebie, chodząc zamyślony po pokoju i gryząc paznogcie. — Na co to wszystko?

Jedyny punkt wyjścia: spakować rzeczy i cichaczem, bez pożegnania, wyjechać. Było-by to może najwygodniej i najbezpieczniej, ale zarazem była-by to gruba niegrzeczność, przestąpienie najpierwszych form przyzwoitości towarzyskiej, brak wszelkiego taktu. Te panie mogły-by go całkiem słusznie posądzić o brak wychowania, a na to nie mógł żadną miarą pozwolić.

Tak upłynęło parę tygodni. Aby nie ubliżyć formom towarzyskim, następnych dni był znowu u tych pań z wizytą, a nawet wychodził z niemi na przechadzkę. Kiedy raz od źródła szli ku niższej gloryetce, pani Solska nagle odezwała się do niego, wskazując powozy przejeżdżające:

— Patrz pan, księżna Mirade.

Maurycy zwrócił wzrok w tę stronę i zobaczył elegancką remizę. Na koźle siedział stangret i lokaj w sutej liberyi, a w powozie cel podziwu i ciekawości całego Iwonicza, tajemnicza księżna. Maurycy miał czas zauważyć, że była wcale piękną. a ubranie jej było bogate, eleganckie i gustowne. Naprzeciw niej siedziało dwóch mężczyzn. Jeden z nich, starszy, bardzo przypominał Wacława Molskiego; przynajmniej na pierwszy rzut oka, o ile mógł schwycić wzrokiem jego rysy w szybkim przelocie powozu. Maurycy jednak uważał to podobieństwo tylko jako złudzenie optyczne. Bytność bowiem Molskiego w Iwoniczu, i to w towarzystwie księżnej, wydawała mu się całkiem niepodobną.

— No, widziałeś pan? — spytała ciocia, gdy powóz już był daleko.

— O ile można było w tak krótkiej chwili — odpowiedział Maurycy.

— A tego jej zagadkowego towarzysza?

— Było ich dwóch; nie wiem, o którym pani mówi.

— Ten z tamtej strony, blondyn.

— Był to właśnie ów, w którym Maurycy dopatrzył podobieństwo do Molskiego.

— Więc to jest ów kuzyn?

— O którym pan musisz się coś pewnego dowiedzieć, bo go tu nikt nie zna. Zapisał się jako Wacław Molski, obywatel. Ale to musi być przybrane nazwisko.

— Wacław Molski? — spytał żywo i ze zdziwieniem Maurycy — więc to on. Nie omyliłem się.

— Jakto? Pan go znasz?

— Znam go trochę. Widywałem go w Krakowie.

— A więc to nie kuzyn księżnej, jak utrzymywała nasza sąsiadka. Widzisz, Julciu, że miałam słuszność, nie wierząc w to kuzynowstwo. Ja mówiłam zaraz, że to jakaś romansowa historya. Ja się troszeczkę znam na tem. Z pomocą pana Maurycego dowiemy się czegoś więcej, skoro pan zna tego pana. Po tej nitce dojdziemy do kłębka.

Maurycy nie chciał wprost odmówić pani Solskiej udziału w tych poszukiwaniach, ale miał stałe postanowienie nie wdawać się w tę całą sprawę ze względu na Molskiego. Ostatni jego czyn był już tak brudnym, że pomimo, iż Maurycy nie miał nigdy o jego charakterze bardzo dobrego wyobrażenia, jednak teraz uważał wszelkie stosunki z nim za niemożliwe i nie pragnął wcale odnowienia znajomości, nawet dla zaspokojenia ciekawości cioci i pomimo, że sam był mocno zaintrygowany dziwnym stosunkiem, jaki mógł łączyć Molskiego z ową piękną, nieznajomą księżną; wolał nic o tem nie wiedzieć, niż zbliżyć się do niego. Nie przeczuwał, że Molski będzie miał tyle bezczelności, iż sam zrobi krok pierwszy. Stało się to na sali balowej. W chwili gdy wprowadzał panią Solską i Julią, spotkał się oko w oko z Molskim. Ten ani się zmieszał, ani zadziwił tem spotkaniem i, przechodząc z księżną, przywitał się z Maurycym poufałem skinieniem, jakiem się wita dobrych znajomych.

— Więc panowie nawet znają się ze sobą? — odezwała się do niego ciocia ucieszona. — No, teraz już jestem pewną, że będziemy wiedziały o wszystkiem. Przed panem przecież nie będzie mógł robić sekretu.

Maurycy nie odpowiedział nic, ale nie miał wcale zamiaru stykać się z Molskim, i starannie unikał powtórnego spotkania się z nim. Dlatego też nie zbliżał się z paniami do stolika, przy którym siedziała księżna, dopiero wtedy, gdy zauważył, że się Molski oddalił.

Pani Solska, kupując bilety, nie mogła powstrzymać się, by nie powiedzieć kilka frazesów po francusku, zastosowanych do okoliczności. Księżna odpowiedziała jej krótko z powagą i uprzejmością.

— Bardzo dystyngowana kobieta — rzekła ciocia do Maurycego, odchodząc od stolika. — Co za ułożenie, jakie pańskie, światowe maniery! Zaraz można poznać, że się ma do czynienia z wielką damą. Pański przyjaciel zapewne pana przedstawi jej, a przez to będziemy i my mogły zrobić bardzo miłą znajomość.

Maurycy zbył znowu milczeniem ten atak cioci. Ale pani Solska należała do kobiet, które umieją szturmem zdobywać i nie odstępują łatwo od ułożonych planów. To też, gdy Maurycy powtórnie zjawił się przy niej, wracając z bufetu, zapytała go:

— A cóż? byłeś pan przedstawiony księżnej?

— Nie jeszcze.

— Dlaczego?

Był w kłopocie, co odpowiedzieć, gdy na szczęście muzyka zagrała inwitacyą do kadryla. Zrobił się ruch, zamieszanie, wśród którego pytanie cioci można było zostawić bez odpowiedzi, nie obrażając jej. Maurycy kontent był z tej sposobności i podał rękę Julii.

— Z kimże mamy vis-a-vis? — spytała, idąc z nim na środek sali.

Pytanie to postawiło go w kłopocie, zapomniał bowiem postarać się o vis-a-vis. Było-by mu to dość trudno, bo nie znał tutaj nikogo. Gdy zatem prowadzący tańce zawołał głośno:

— Kto potrzebuje vis-a-vis?

— Ja — rzekł Maurycy, kontent, że przypadek szczęśliwy wybawił go z kłopotu.

— Zaraz postaram się dla pana, bo właśnie jedna para potrzebuje vis-a- vis.

To powiedziawszy, pobiegł w głąb' sali i za chwilę się zjawił, prowadząc parę.

Maurycy zmieszał się, zobaczywszy Molskiego, idącego wprost ku niemu z jakąś damą.

— To pańskie vis-a-vis — odezwał się prowadzący tańce, przedstawiając przybyłą parę.

— Więc z tobą? Ach, jak się to szczęśliwie złożyło! — powiedział Molski i przedstawił swojej damie Maurycego, a zarazem poprosił, aby on go swojej przedstawił. Nie podobna było odmówić bez zrobienia skandalu, i Maurycy, przymuszony koniecznością, wybąknął z niechęcią, przez zęby, nazwisko Molskiego.

Ten fatalny zbieg okoliczności popsuł mu humor i zniweczył wszystkie przyjemności, jakie sobie obiecywał w tym kadrylu. Chodził kwaśny i nachmurzony, że aż Julia parę razy zapytała go, co mu się stało? dlaczego z taką miną, jak widmo jakiej okropnej Szekspirowskiej tragedyi, chodzi po sali.

— Zbyt widocznie zdradzasz się pan z tą przykrością, jaką panu robi taniec. Ale jeżeli pan zdecydowałeś się raz na to poświęcenie dla mnie, to poświęć się jeszcze na trochę uśmiechu i rozpogódź się na miłość Bozką, bo wystawiasz na śmieszność i mnie ,i siebie.

Słowa te jeszcze więcej przygniotły Maurycego. Ton ich pogardliwy dowodził gniewnego oburzenia Julii. Czuł, że wygląda śmiesznie i głupio w jej oczach, a nie mógł zapanować nad sobą i zmienić humoru. Drażniła go do tego bezczelna wesołość Molskiego, który całkiem nie zdawał się być zażenowanym, ani jego obecnością, ani surowemi spojrzeniami, jakie na niego ciskał; śmiał się, rozmawiał z zajęciem ze swoją tancerką, nawet Julii rzucił kilka zgrabnych frazesów wśród tańca. To wszystko burzyło mu krew i psuło humor. Niecierpliwie wyczekiwał końca tego nieszczęśliwego kadryla. To też ledwie muzyka grać przestała, pośpieszył coprędzej odprowadzić Julią na miejsce i, bojąc się wymówek jej i wyrzutów, skłonił się coprędzej i odszedł do bufetu. Tu dopiero odetchnął swobodnie, jak po ciężkiej pracy.

Rzeczywiście ten kadryl niemało go kosztował, bo stracił w nim swą równowagę moralną i ten ironiczny spokój, jakim imponował dawniej. Dziś nie on się śmiał, ale z niego się śmiano; był karykaturą siebie samego. To też potrzebował czasu, zanim zebrać mógł myśli i przyjść całkiem do siebie, i ledwie w pół godziny potem zdecydował się wrócić na salę balową.

Pierwsze, co uderzyło jego oczy, była Julia, walcująca z Molskim. Widok ten tak go zabolał, jakby go coś ukąsiło w serce. Odwrócił oczy w inną stronę, by nie jątrzyć rany patrzeniem. Dopiero gdy się walc skończył, ośmielił się odszukać Julią spojrzeniem między tłumem osób. Zobaczył ją siedzącą obok ciotki i rozmawiającą z wielkiem zajęciem z Molskim. To go oburzyło . Widząc tego człowieka, którego tak nizko cenił, rozmawiającego tak poufale z Julią, doznawał takiego wrażenia, jakby widział obrzydliwego robaka na czystym kwiecie róży; zdawało

mu się, że znajomość z takim człowiekiem uwłaczała i plamiła. Miał ochotę zbliżyć się do nich i poprostu kazać mu odejść. Ale rozsądek powstrzymał go; bał się awantury, która-by mogła skompromitować Julią. Czekał więc niecierpliwie, póki Molski sam nie odejdzie, a wtedy miał zamiar iść do tych pań i ostrzedz je, że znajomości i towarzystwa tego pana powinny unikać. Wiedział, że trudno mu będzie przekonać je o tem, bez odsłonięcia wszystkiego, ale zdecydował się nawet oskarżyć go o podłość, byle ochronić je od tego towarzystwa.

W tem zagrano mazura. Molski podał rękę Julii i stanął z nią w kole tańczących. Maurycy poruszył się żywo, jakby go coś gwałtownie szarpnęło. Chciał iść prosto ku nim; ale ten sam wzgląd, co poprzednio, powstrzymał go; zwrócił się do bufetu. Tu kazał sobie podać wina i, zapaliwszy papierosa, usiadł na kanapie. Muzyka drażniła jego nerwy, sprawiała mu przykrość i ból głowy; zdawało mu się, że pary tańczą po jego głowie, a każdy hołubiec uderza go w skroń. Po chwili próbował spokojniej trochę zastanowić się nad tem nieznośnem położeniem, i z zimną krwią rozebrać pobudki swojego rozdrażnienia. Myślał nad tem, czy jedynie pogarda, jaką czuł dla Molskiego, sprawiła, że go tak oburzało jego zbliżenie się do Julii. Wszak od dawna wiedział o tem, że to człowiek mętnego charakteru, że niejedna brudna sprawa powalała jego życie; a jednak żył z nim, bywał z nim nieraz w towarzystwach. Dlaczegóż dzisiaj innym wzrokiem patrzy na niego? Czyż ostatni postępek jego tak bardzo zaważył na szali, że nie miał już dla niego żadnego względu? Czy był-by również surowym sędzią, gdyby nie był zbliżył się do Julii, gdyby, zamiast z nią, tańczył z którąkolwiek inną z jego znajomych, naprzykład z panią Solską? Nie umiał odpowiedzieć sobie na to pytanie, bał się przyznać przed samym sobą, że inne jeszcze uczucie spotęgowało w nim nienawiść i pogardę dla Molskiego, nie śmiał wypowiedzieć nawet w głębi swej duszy nazwy tego uczucia, które szarpało jego nerwy.

— To-by było śmiesznością do niedarowania w moim wieku — powiedział sobie. Wstał i przechadzał się żywo, niespokojnie, po bufecie.

Muzyka wciąż grała, pary hasały zacięcie, zabawa ożywiała się nadzwyczaj wesołemi tonami mazura. Maurycy czuł ogień w głowie, a serce miał jakby ścierpnięte, zmrożone.

— Po com ja tutaj? — mówił sobie, ocierając spotniałe czoło. — Po co mi ta męka, ten niepokój? Trzeba będzie wyjechać ztąd coprędzej. O powód nie będzie trudno. Jakiś ważny interes, telegram, list wreszcie, jakibądź pozór, byle wyjechać i nie dać nic poznać po sobie, nie stać się śmiesznym.

— A jednak — mówił znowu po chwili — nie mogę odjechać, nie przestrzegłszy ich, co to za człowiek. Nie chciał-bym, aby potem, gdy poznają się na jego wartości, miały urazę do mnie, że przezemnie zrobiły tę znajomość. Wreszcie, mogę jemu samemu zakazać tam bywać. Mam do tego prawo i mam moc po temu. Jestem panem brzydkich tajemnic jego; mogę mu zagrozić, że nie będę robił z tego sekretu, gdyby mnie usłuchać nie chciał. Tak. Tej broni mogę przeciw niemu użyć teraz, zaraz, natychmiast. Jestem pewny, że to poskutkuje.

Z tem postanowieniem wszedł do sali balowej. Surowem spojrzeniem szukał w kole tańczących tego, przeciw któremu miał naprężony w duszy cios zgubny. Ze zdziwieniem nie zobaczył go nigdzie, ale co go więcej jeszcze zadziwiło, nie zobaczył ani Solskiej, ani Julii. Księżnej także nie było na balu. Nie umiał sobie tego wytłómaczyć, a nie śmiał pytać o to nikogo. Przeszedł raz jeszcze przez salę, aby się przekonać, czy go wzrok nie łudzi, zwiedził boczne pokoje, zajrzał nawet do budoaru, a nie znalazłszy nigdzie tych, których szukał, poszedł do garderoby. Tam dowiedział się od służącego, że te panie, z któremi przyszedł, odjechały już do domu.

— Same? — spytał głosem stłumionym, bo coś ściskało mu piersi i zapierało oddech.

— Nie; z jakimś panem.

Maurycy zagryzł do krwi wargi i kazał sobie podać palto. Nie miał już po co wracać do sali balowej. Pobiegł prosto do domu, a wzrok jego skierował się w okna, gdzie mieszkała Solska z Julią. Okna były oświecone — a więc są w domu. Ale czy same, czy on, ten nędznik jest z niemi. Stanął i wpatrywał się w okna, czekając, czy nie zobaczy kogo chodzącego po pokoju, czy na szybach nie zarysuje się cień głowy mężczyzny. Czekał naprózno. Parę razy przesunął się cień głowy, ale w takiem powiększeniu, że Maurycy nie mógł odgadnąć, czy to był cień kobiety, czy mężczyzny. Już goście wracali z balu, on chodził, jak szyldwach, koło domu, chowając się w ciemność, ile razy jaki powóz przejeżdżał, bał się bowiem, by przy świetle latarni nie dostrzeżono jego nocnego stróżowania.

Nareszcie światło w dwóch oknach zgasło. W trzeciem tylko została paląca się lampa. Był to zapewne pokój sypialny, bo wnet zobaczył cień kobiety, prawdopodobnie cioci, zbliżającej się do okna, i zielona roleta opadła. Maurycy odetchnął. Więc nie był u nich. To go uspokoiło, nerwy wyprężone oczekiwaniem i niepokojem osłabły, jak odkręcone struny, i znużenie owładnęło go. Wszedł do swego mieszkania zmęczony, jakby zbity, i rzucił się ubrany na łóżko. Nie usnął, ale zapadł w rodzaj półsennej omdlałości, gorączkowego majaczenia. Muzyka huczała mu wciąż w uszach, widział pary hasające, wszystko to kręciło się koło niego w szalonych plasach i wirach, nawet światła balowe drżały namiętnemi ruchami w takt skocznej muzyki, i kwiaty złociste wyskakiwały z tapetów i wirowały w tym zamęcie tonów, światła, ludzi; powstał chaos nieopisany, od którego buchało na jego twarz gorąco, jakby z rozpalonego pieca. Naraz wśród tego zamętu zobaczył, jak Molski, trzymając w silnym uścisku Julią, ciągnął ją za sobą. Ona omdlałemi oczyma, zmęczoną twarzą, prosiła go o spoczynek, odpychała się od jego ramion; a on coraz silniej przyciskał ją i porywał. Maurycemu krew zakipiała w żyłach, rzucił się przez tańczących prosto ku nim, chwycił go za ramię i zawołał całą piersią:

— Puść ją, nędzniku!

Krzyknął tak głośno, że, przestraszony własnym krzykiem, zerwał się na równe nogi i chwilę czasu potrzebował, zanim przyszedł do siebie i przypomniał sobie, gdzie się znajduje. Gdy już całkiem wrócił do przytomności, rozśmiał się sam z siebie i ze swoich majaczeń, które mu teraz już nie strasznemi, ale śmiesznemi się wydawały, i rzekł głośno:

— W starym piecu dyabeł pali.

Potem już spokojniej rozbierać się począł i położył się spać, nie zapomniawszy nawet nakręcić zegarka, co zawsze zwykł był robić. Wskazówka stała na trzeciej.

Gdy się obudził, była już dziesiąta rano. Czas jakiś leżał jeszcze, przypomniał sobie na trzeźwo wrażenia i wypadki wczorajszego wieczoru i dziękował Bogu, że nie wyrwał się z jakimś głupstwem, jak to zamierzał parę razy, za co-by się teraz musiał wstydzić przed sobą i przed ludźmi, gdy naraz drzwi się na rozcież otwarły z łoskotem i do pokoju wpadł Molski.

Maurycy zachmurzył się i nastroił twarz poważnie, ale przybyły z dobrą miną i serdecznością przyskoczył do niego i począł go ściskać i całować, pomimo oporu jego i niechęci.

— Kochany, poczciwy Maurycy! jakże się cieszę, że cię tu spotykam. To prawdziwa przyjemność dla mnie, nadzwyczaj miła niespodzianka. Ale jak widzę, gniewasz się na mnie, i wczoraj uważałem, stroiłeś mi okropne miny. Pewnie gniewasz się za tę pożyczkę, którą bez twojej woli i wiedzy zaciągnąłem u ciebie w sposób niebardzo uczciwy. Ale cóż miałem robić? Wiedziałem, że nie zrobisz mi tego dobrowolnie, i tak już dosyć zadłużyłem się u ciebie, a tu było tak cienko, że nie pozostawało, jak tylko w łeb sobie palnąć, albo zrobić to, co zrobiłem. Wolałem obrać to ostatnie. Miałem przeczucie, że twoje pieniądze szczęście mi przyniosą, i nie zawiodłem się. Twoje tysiąc pięćset guldenów urosły w Monaco do dziesięciu tysięcy. Chciałem, jadąc tutaj zatrzymać się w Krakowie, by natychmiast zwrócić ci pożyczkę z podziękowaniem, ale wypadło tak, że musiałem prosto tutaj jechać. Zresztą, nie spieszyłem się ,bo wiedziałem, że tak gwałtownie nie potrzebujesz tych pieniędzy. Ale teraz, kiedy szczęśliwy traf złączył nas, przynoszę co prędzej mój dług.

Tu wyjął z pugilaresu kilka banknotów i położył je na stole obok Maurycego.

— Oto są; przelicz, skwituj mnie i nie gniewaj się na mnie; ja nie taki zły, jak ci się wydaję, ale potrzeba to straszny doradca. Każdy ratuje się, jak może. No, Maurycy! rozjaśnij to poważne czoło i podaj mi rękę.

Mówił to z taką szczerą serdecznością, że Maurycy nie mógł utrzymać się w roli surowego sędziego wobec tego. Jak wiemy, miał on dawniej słabość do tego lamparta, który więcej robił wrażenie zepsutego dzieciaka i lekkomyślnego niż przewrotnego, bo widział w nim dobre serce, dobre skłonności, które przez złe wychowanie spaczyły się i poszły na bezdroża. To też teraz, gdy ten lampart stanął przed nim i przemówił do jego serca, nie mógł dłużej żywić gniewu do niego. Molski miał dar ujmowania sobie ludzi, chwytania za serce, a postępowanie jego. które u kogo innego było-by potworne, znajdowało nawet u ludzi surowych zasad pobłażanie skoro tylko poznali go bliżej. Są ludzie, którzy nawet cnotę i dobre uczynki praktykują w tak wstrętny sposób, że zrażają do siebie a patrząc na ich cnotliwe życie, można znienawidzić cnotę. U Molskiego przeciwnie, błędy i występki popełniane, przez niego, miały jeżeli nie powab, bo to było już niepodobieństwem, to przynajmniej znośny pozór, bo przez nie przebijało dobre serce; błądził i grzeszył z pewnym właściwym sobie wdziękiem. Trzeba było nie znać go całkiem, nie widzieć, aby go można było potępić. Obecność jego nie pozwalała na bezstronny sąd o jego czynnościach. Można go było wtedy nazwać lekkomyślnym, zepsutym, marnotrawnym ale nie podłym; albowiem jakoś uczciwą miał minę i rzetelne spojrzenie. Nic dziwnego, że Maurycy, pod wpływem tego uroku, jaki Molski wywierał na wszystkich. zmiękł, i lubo trochę z przymusem, podał mu rękę. Molski chwycił podaną sobie dłoń, podniósł do ust i pocałował z czułością skruszonego chłopca, co przeprasza za to, że coś przeskrobał.

Maurycy„ zażenowany cofnął prędko rękę i zawołał:

— Waryacie, co robisz!

— Ale bo ja widzę, że ty jeszcze masz żal do mnie. Mój Maurycy, zwymyślaj mnie ostatniemi słowami, tylko nie patrz tak. jak na łotra; ja przecież czuję, że znowu tak złym nie jestem. Ty się jeszcze gniewasz na mnie, prawda?

— Ależ nie gniewam się. nie gniewam. Na takich trzpiotów, jak ty, niepodobna się gniewać. No, siadaj-że i zapal papierosa.

— Otóż tak, to mi zaraz lżej na sercu. Jesteś znowu takim, jakim byłeś.

Maurycy podał mu pudełko z papierosami i sam wziął jeden. Ale Molski zatrzymał go i rzekł:

— Czekaj, mam tu doskonałe hawana, specyał prawdziwy; dostałem je od jakiegoś markiza włoskiego; który je sam kupował na miejscu i szesnaście lat suszył u siebie.

To powiedziawszy, dobył bogato oprawną cygarnicę, otworzył i podał Maurycemu.

— Wyszukujesz najsłabsze strony moje i chcesz mnie ująć. Czy znowu czego potrzebujesz ode mnie? — spytał Maurycy nieco drwiąco.

Obecnie nic, prócz dobrego słowa. Pieniędzy jeszcze mam na parę miesięcy, a o resztę umiem się sam postarać.

— Więc Monaco posłużyło? — spytał Maurycy, zaciągnąwszy się ze smakiem i puściwszy kłęb wonnego, niebieskiego dymu przed siebie.

— Jako tako. A cóż hawana?

— Wyborne; ale cóż cię z Monaco sprowadziło do Iwonicza?

— A, to cała historya! — zawołał wesoło Molski, wracając do swego lekkiego humoru. — Widziałeś tę damę, z którą byłem wczoraj na balu?

— Księżna?

— Ona taka księżna, jak ja — rzekł zniżonym nieco głosem Molski, parskając śmiechem.

— Jakto? nie księżna? — spytał Maurycy, i aż podniósł się na łóżku z zadziwienia. — Któż więc ona?

— Jakaś kawiarka z Lyonu, która potem była boną przez pół roku w jakimś włoskim książęcym domu, dopóki nie została baletnicą.

Maurycemu przyszło na myśl co mówiła ciocia o tej damie, jak zachwycała się jej dystynkcyą i prawdziwie arystokratycznemi manierami.

— Zkąd-że przyszła do tytułu księżnej? — zapytał po chwili.

— To my ją nobilitowali na tę godność — rzekł z komiczną powagą.

— Jakto my?

— To jest ja i jeden obywatel z tych okolic, z którym poznałem się w Monaco. Bardzo jowialny i dowcipny człowiek. On-to właściwie ułożył tę całą intrygę.

— W jakim-że celu?

— Aby wystrychnąć na dudka jakiegoś dumnego baronka, sąsiada swego. Baronek głupi, jak stołowe nogi, a przytem zarozumialec i arogant, całem sąsiedztwem pomiata, z nikim żyć nie chce, bo uważa sobie za ubliżenie przestawać z ludźmi niższego urodzenia i utrzymuje, że jedynie książęce mitry są dla niego odpowiedniem towarzystwem. Otóż my sprokurowaliśmy mu taką książęcą mitrę, aby sobie zadrwić z niego i podskubać go trochę, bo trzeba ci wiedzieć, że baron jest skąpy, kutwa, żałuje sobie na wszystko, nikomu nic nie da, ale tam gdzie idzie o popisanie się, o utrzymanie honoru domu, tam się szarpie. My postaramy się, żeby się grubo szarpnął. Antoinetta jest sprytna kobietą, znająca świat i ludzi; obracała się w wielkim świecie i umie być wielka dama. Wtajemniczyliśmy ja w nasz plan, koszta podróży i utrzymania zabezpieczyliśmy jej oba po połowie, i bawimy się wybornie, bo baranek już się złapał. Musiałeś go widzieć na balu: ten niski brunecik z szkiełkami na nosku, podobny do wygiętej fajeczki, z wiecznie otwartą gębą, z krótkiemi rączkami, które trzyma, jak mopsik łapki, gdy mu służyć każą.

— To trochę kosztowna zabawa, bo przecież utrzymanie baletnicy na stopie książęcej musi was niemało kosztować.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

